NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 12 listopada 1904 r. Nr. 7.

Rewolta Niemców w Insbruku.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

6 (Ciąg dalszy)

Kazimierz słuchał milczący, hrabina zaś, rzuciła się nerwowym ruchem na sofę i mówiła dalej:

— Jeśli bronić się nie zechcesz, musisz mnie zgubić i popchnąć w przepaść, otwierającą się pod naszemi stopami, gdy ja dla naszego wspólnego szczęścia, chcę uniknąć nawet podejrzenia. Wolną i swobodną być pragnę, aby mieć prawo kochać cię w oczach całego świata... i oddać ci się cała!

— Ach, Marcelo... moja biedna Marcelo!

— Tak, tak... swobodni być musim... swobodni i niepodejrzani... Czy nie mówiłeś nieraz, że pragniesz widzieć mnie wdową, żebyśmy nie potrzebowali ukrywać się z naszą miłością, żebyś mógł mnie poślubić?... Czyści oboje czekaliśmy na wyzwolenie... a co wówczas mój mąż czynił? tarzał się w rozpuście, albo gonił szwaczki po ulicach, aby garścią złota i kolacyjką w gronie takich samych, jak on nicponiów, sprowadzać biedne dziewczęta z drogi cnoty!

— Wszystko to prawda. Miałaś prawo go nienawidzieć i pogardzać tym człowiekiem, lecz pomimo to, nic w sumieniach naszych nie zatrze wspomnienia popełnionej zbrodni, której karzące brzemię spadnie na człowieka niewinnego, ojca trojga małych dzieci.

— Milcz! milcz!

— Mamy przed sobą dwie drogi. Albo zgodzimy się na to, że Marcin Żarski skazany zostanie na ciężkie dożywotnie roboty w kopalniach, albo musimy wyznać całą prawdę, oddać się w ręce sprawiedliwości i powiedzieć sędziemu śledczemu... mojemu ojcu... że my jedni tylko przestępcami jesteśmy. Wtedy czeka nas zasłużona kara i hańba.

— Nie! nie! nie chcę przyznać się do zbrodni! nie chcę stawać przed sądem!

— A więc posłuchaj. Na tem biurku mam rewolwer nabity... Jedna kula dla mnie, a druga dla ciebie. Sami wymierzym sobie karę, a Żarski będzie ocalony.

Urwał — czekając na odpowiedź. Lecz ona milczy.

Myśl o zgonie, proponowanym przez kochanka, napełnia jej serce straszną trwogą. Długie palce zanurzyła w bujne, rude włosy i drży, jak w febrze.

Co on mówił? Czy rzeczywiście myśli o samobójstwie? Czy w istocie chce z nią razem rzucić się w objęcia zimnej śmierci?... Z nią, taką jeszcze młodą, piękną i bogatą! przed którą dopiero teraz zaczyna się roztaczać rozległy widnokrąg szczęścia — z nią, która go kocha tak gorąco, namiętnie, bez granic! Nie! Nie! nie umrze... nie chce umierać!

Powstała — i rzuca się w ramiona młodzieńca. Obejmuje go za szyję, usta swoje do ust jego przyciska, a całując je, czuje, że on się nie broni, że poddaje się jej pieszczotom, że w cieple ich wola jego słabnie, że staje się znowu jej niewolnikiem, a ona władzę swą nad nim odzyskuje i pomimo budzących się w sumieniu wyrzutów, powiedzie go z sobą dokąd zechce, choćby miał zdeptać prawa boskie i ludzkie, zagradzające im drogę do szczęścia...

— Och, Marcelo moja! co czynić? Dziś wieczorem o godzinie dziewiątej mam się widzieć z ojcem. Gotów mnie badać, wypytywać... Może dla tego właśnie wezwał mnie do siebie.

— Pytasz, co masz czynić? Zaraz ci odpowiem, lecz wprzódy chcę być pewną, że co dziś postanowimy, nie ulegnie następnie żadnej zmianie.

— Mów! mów!

— Teraz przedewszystkiem musimy myśleć o naszej własnej obronie... o ocaleniu obojga...

— A niewinnie uwięziony?... a Marcin Żarski?

— Niech sobie radzi jak może! My zaś nie mówmy o nim ze sobą nigdy!

— Och, Marcelo! Marcelo!

— Popełniłam zbrodnię, to prawda, lecz popełniłam ją dla zaspokojenia sprawiedliwej zemsty. Nie możesz mieć pojęcia, co wycierpiałam przez tego ohydnego człowieka! Od dawna na zgon jego czekałam i życzyłam mu śmierci; oddawna przemyśliwałam nad jakąś fantastyczną zbrodnią, któraby mnie wyzwoliła z pod władzy nędznika, który skradł mi ukochane dziecko! Łotr porwał je w nocy. Przekupił mamkę mego syna, przekupił jej męża; nabył od nich grunt i chatę za potrójną cenę, zniszczył im całą posiadłość, równając zabudowania z ziemią, a ich samych skłonił grubymi pieniądzmi, by wynieśli się w dalekie strony. dla tego tylko, żeby zatrzeć za niemi ślady wszelkie, żebym wychowańców mojego małego odszukać nie zdołała. Gdy się o tem wszystkiem dowiedziałam i wszystko sprawdziłam na miejscu, tegoż samego dnia, wróciwszy do domu, rzuciłam mu się do nóg, błagając go ze łzami o zwrot dziecka, lecz niegodziwiec na prośby moje odpowiadał szyderczemi obelgami. Od tej chwili nienawiść moja do niego wzrastała z dniem każdym. Postanowiłam zemścić się i czekałam na sposobną chwilę. Gdy nadeszła nareszcie, w lot ją uchwyciłam... i niczego... nie żałuję!

— Mąż twój jednak uniósł z sobą tajemnicę do grobu. Nigdy się już nie dowiesz, co się z synem twoim stało...

Marcelina opuściła głowę na piersi.

— A sumienie wyrzucać ci będzie zawsze popełnioną zbrodnię — dodał Kazimierz.

— Zamilcz!... zamilcz! mój drogi.

Rozgorączkowana, z błyskawicami szału w oczach, przygryzając do krwi zbielałe od gniewu wargi, przechadzała się po salonie. Nagle zatrzymała się przed Kazimierzem i rzekła:

— Słuchaj! mam przeczucie, że syna mojego odnajdę. Dziwne przypadki zdarzają się nieraz w życiu, a ja na jeden z takich szczególnych trafów czekam z ufnością. Czy ktokolwiek bądź mógł przewidzieć, że pewnego dnia po powrocie z konwencyonalnej przejażdżki po Łazienkach, zostanę niespodzianie pochniętą przez fatalność do zbrodniczego czynu, że temi małemi rękami uduszę męża?... Przyznaję, że byłam zawsze ambitną; że bieda, w jakiej przeżyłam lata panieństwa upokarzała mnie i zawstydzała, lecz przecież nikomu najmniejszej krzywdy nie wyrządziłam. Poślubiłam hrabiego Jelskiego, tylko ze względu na jego wiek podeszły, tytuł i majątek... i to prawda! lecz czyż tysiące innych, zwłaszcza w mojem położeniu, nie postąpiłoby w tenże sam sposób? Czy połowa małżeństw w naszym świecie nie zawiera się tylko dla pieniędzy?

— To też pieniądze sprawiają, że tyle podłości dzieje się w waszym świecie — rzekł Kazimierz z pewnym rodzajem chłodu w głosie i ironicznym uśmiechem na ustach. — Sprzedałaś się hrabiemu Jelskiemu, oddając mu się bez miłości, a teraz uskarżasz się i narzekasz po niewczasie gdy twój spóźniony żal, straszliwych skutków poślubienia nie kochanego rozpustnika zmienić już nie może.

Marcelina nic nie odpowiedziała na gorzkie słowa młodzieńca. Oboje zamilkli.

Deszcz, bijący o szyby salonu, wydzwaniał na nich, jakąś monotonną, drażniącą nerwy melodyę.

Hrabina, rozsunęła nieco firanki i patrzyła na ulicę, po której płynęły potoki brudnej wody. Deszcz przemieniał się powoli w rzęsistą jesienną ulewę. Marcelina, zasunęła firanki, zbliżyła się do siedzącego na sofie Kazimierza i usiadła przy nim. Oboje jednak milczeli dalej.

Stary służący wszedł do pokoju.

— Może przynieść co z restauracyi? — zapytał. — Tu, od niedawna zamieszkały kucharz francuski rozsyła na miasto smaczne obiady i kolacye. Jeśli pan mecenas rozkaże, skoczę po dwa nakrycia.

— Nie, nie! mój Stefanie — odparł Kazimierz przerywając lokajowi mowę — nic jeść nie będziemy.

Stefan wrócił do przedpokoju.

— Jeść!... Boże! jakbyśmy byli głodni! — syknął młody człowiek, wzruszając ramionami. — Od pamiętnego wieczora nic prawie w ustach nie miałem. Ile razy siądę do stołu, czuję ściśnięcie w gardle, jakby mnie kto dławił.

— Z tego, co mówisz, wnoszę, że nie rozgniewasz się na mnie, gdy zaraz odejdę — rzekła Marcelina, wkładając na głowę kapelusz i zapuszczając na twarz woalkę. — Zatem i dziś znowu nie spędzimy wieczoru razem?

— Nie mogę... ojciec na mnie czeka.

— A więc chodźmy!

— Chodźmy!

Molski podał jej okrycie, sam przywdział palto — i oboje zeszli ze schodów. Na placu teatralnym pożegnali się uściśnieniem ręki.

Kazimierz skinął na mijającego woźnicę, a gdy ten konie zatrzymał, wskoczył do dorożki i kazał się odwieść na Długą. Siódma biła na ratuszowej wieży, gdy wysiadł przed bramę pierwszej frontowej kamienicy. Szybko przebiegł jedno i drugie podwórze i cicho wsunął się do sieni. Lecz Eugenia czekająca widocznie na niego, posłyszała odgłos kroków brata i wyszła na jego spotkanie.

— Siądziemy dziś do stołu sami we dwoje — rzekła, witając się z Kazimierzem — bo ojciec kazał sobie podać wieczerzę do pracowni. Jest bardzo zajęty i dziwnie niespokojny. Zdaje mi się, że to śledztwo w sprawie zamordowania hrabiego Jelskiego, tak bardzo go absorbuje. Jak wiesz, pragnie widzieć się z tobą. Czeka na ciebie. Sądzę — dodała ze wzruszeniem — że chciałby cię prosić o podjęcie się obrony mordercy.

Kazimierz zbladł.

— Znajdziesz w niej niezawodnie świetne pole do krasomówczego popisu — mówiła dalej — bo mam głębokie przekonanie, że Żarski jest niewinny. Ten człowiek nie popełnił zbrodni! dałabym za to głowę... Zbyt dobrze go poznałam w czasie mojej choroby, abym mogła myśleć inaczej.

– Czy przekonanie twoje i ojciec podziela?

— Och, papa we wszystkich obwinionych widzi morderców!... Co prawda, przyznać muszę, że okoliczności, oskarżające Żarskiego, noszą na sobie bardzo poważny charakter... Zaraz po wieczerzy pójdziesz do ojca, mój drogi, ale proszę cię, nie mów nic złego o naszym biednym doktorze, raczej... wyrażaj się o nim z politowaniem...

— Solennie ci to przyrzekam.

Po kolacyi, do której tylko brat i siostra zasiedli, Eugenia udała się do swego pokoju, a Kazimierz do gabinetu ojca.

Piotr Molski czekał już na syna.

— Mam ci wiele do powiedzenia i wiele rzeczy pragnąłbym cię zapytać — rzekł sędzia przewracając rozłożone na biórku papiery. — Uwięzienie Marcina Żarskiego przejmuje mnie trwogą... lękam się, czy nie palnąłem straszliwego bąka.

Kazimierz zadrżał.

Piotr mówił dalej:

A jednak dowody rzeczowe, jak kapelusz i list matki, zdają się potępiać nieszczęśliwego... Mówię „nieszczęśliwego“, bo Genia, pamiętająca starania jakiemi ją otaczał w chorobie, na samą myśl, że biedak może być skazany, płacze i lamentuje. Nie dość tego: wierzy na seryo w jego niewinność. Jej wzruszenie i wiara i mnie nabawiają kłopotu. Gruntu nie czuję pod nogami; nie mam pewności siebie, jaką zdobywam bardzo szybko w innych tego rodzaju sprawach. Kilkakrotnie już pytałem panią Janinę Żarską o przyczynę odwiedzin syna u hrabiego; za każdym razem nie chciała mi na

to odpowiedzieć. Nalegałem, prosiłem nawet bardzo gorąco i serdecznie. Prośby moje nie odniosły żadnego skutku. Uparła się i tajemnicy wydać nie myśli. Marcin również, chociaż najenergiczniej protestuje, gdy go obwiniam o zbrodnię, powodu jednak swojej wieczornej wizyty w pałacu, pod żadnym pozorem wyjawić nie chce. A jednak zdaje mi się, że to właśnie zeznanie mogłoby ocalić biedaka. Słowem, ten człowiek inteligentny i wykształcony tak nie umie się bronić, że ja, wobec tego, czuję się rozbrojony.

— A więc, powiedz mi ojcze z łaski swojej, kogo masz zamiar obwinić? — zapytał niemal spokojnie Kazimierz, w chwili bowiem grożącego mu niebezpieczeństwa, odzyskał zupełną przytomność umysłu. — Czy natrafiłeś na nowe tropy? czy śledztwo odkryło świeże jakieś poszlaki?

— Broń Boże!

— Jeśli tak, to nie łam sobie papo głowy na próżno... a Marcin Żarski niech stanie przed sądem.

— Ba! Łatwo to powiedzieć, lecz tak, jak dziś rzecz się przedstawia, nie może być skazany ani na zamknięcie w twierdzy, ani na osiedlenie. Grożą mu dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach, to jest, przy jego kompleksyi, śmierć niezawodna.

Kazimierz zbladł znowu.

Sędzia śledczy ciągnął dalej:

— Co u licha zaprowadzić go mogło do hrabiego Jelskiego? W tem sęk!... Lecz prawdopodobnie ty mi rzecz wyjaśnisz, boś był przecie u hrabiny w chwili spełnienia zbrodni.

Pod spadającym nań z nienacka ciosem zachwiał się młodzieniec. Opanował jednak wzruszenie szybko i nadając głosowi możliwą pewność, zapytał:

— Zkądże się dowiedziałeś?...

— Od czegoż jestem sędzią śledczym! Wiem także, że nazwisko twoje nie figurowało w dziennikach dla tego jedynie, że postarała się o to pani hrabina. Przypuszczam nawet, że pominięcie to w niektórych trzeciorzędnych organach prasy, musiało ją dosyć drogo kosztować.

— Nie mówiła ze mną o tem. Przyznać jednak muszę, że dobrze zrobiła, obroniła bowiem tym sposobem honor własny od podejrzeń i plotek.

— Co nie przeszkodzi, że będziesz wezwany na świadka — rzekł Piotr Molski, przesuwając dłoń po czole — a powiem ci szczerze, że mnie to wcale nie cieszy.

— Nie mam nic do zeznawania, jako świadek, bo nic nie wiem, mój ojcze.

— Wszakże znasz Pipersteina, ajenta policyi? — rzekł sędzia, powstając z krzesła — i wiesz z jakiem zamiłowaniem poświęca się swemu rzemiosłu?... jaką wrodzoną bystrością umysłu jest obdarzony, przy niezwykłej przezorności i długoletniej rutynie w badaniu zawikłań kryminalnych? Otóż Piperstein nie wierzy, aby Marcin Żarski był istotnym winowajcą.

— Kogoż o zbrodnię podejrzywa? — zapytał znowu młody człowiek głosem, w którym lekkie drżenie odczuwać się dawało.

— Przeraziłbyś się, gdybym ci powiedział.

— Proszę cię, papo, powiedz!

— Podejrzywa hrabinę Jelską.

Wszystkie muskuły zadrgały nagle na bladej, po prostu zsiniałej twarzy Kazimierza. Podniósł się z krzesła i stanął, jak wryty w posadzkę. Ojciec przeglądający w tej chwili akta na bocznym stole, nie patrzył na syna. Gdyby był przypadkiem zwrócił nań oczy, poznałby od razu, jaka burza rozszalała się w jego duszy.

— Ba! — mówił w dalszym ciągu — gdybyśmy czemkolwiek bądź mogli stwierdzić podejrzenie, tożby to był dopiero sensacyjny proces!... Niestety! dotąd stwierdzić nie możemy, a ja z tego powodu ciągle się waham, pomimo bowiem dowodów, walących się na głowę biednego Żarskiego, jakiś głos wewnętrzny szepcze mi nieustannie, że należy być bardzo ostrożnym w referowaniu sprawy. Nie kontent jestem z siebie, wciąż mi się zdaje, że źle i nieudolnie poprowadziłem śledztwo. Dlatego też zwracam się do ciebie: dostarcz mi Kazimierzu wyjaśnień i wiadomości, jakie posiadasz, a chyba posiadać je musisz. Zaklinam cię przytem na twój honor i uczciwość, powiedz mi szczerze, wprost z głębi duszy, czy sądzisz, że ten człowiek mógł popełnić zbrodnię?

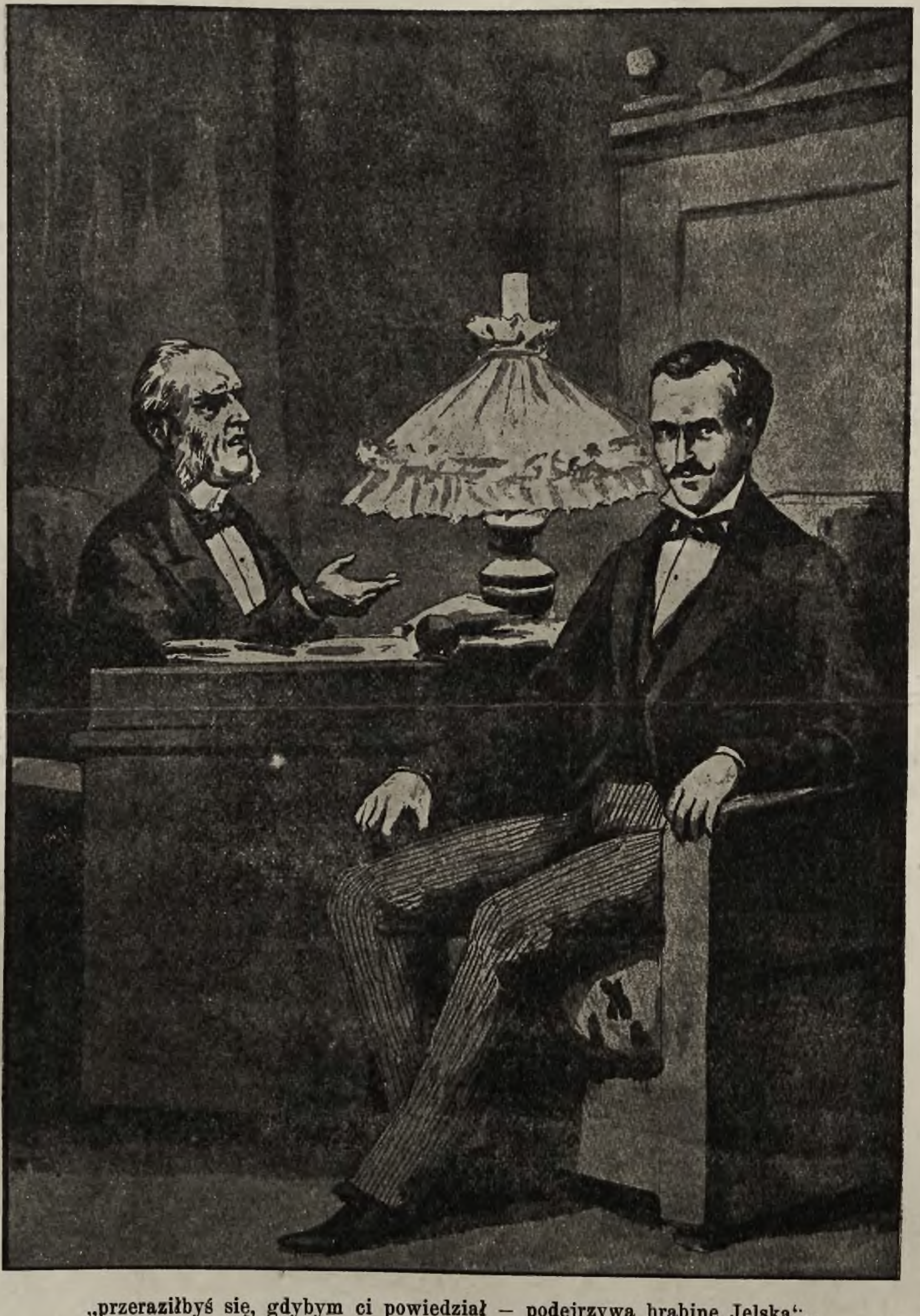
— Tak, mój ojcze.

— Kłamiesz!..... Wiem dobrze, że ukrywasz przedemną nie jedno, co sumienie powiedzieć by ci nakazywało. Ty! adwokat, obrońca w sprawach karnych, zdajesz się zapominać o zasadzie prawnej, nakazującej szukać przestępcy między tymi, którzy korzyść i zysk z popełnionej zbrodni odnoszą. A zresztą, w jakim celu ten nieszczęśliwy Żarski udusił starca, którego nie znał... że zaś nie znał, oświadczyła cała służba, a nawet sama hrabina.

— Co do mnie, sądzę, że mogli się znać przed laty...

— Nie, w to nie wierzę. A przytem nie wybijesz mi z głowy, że młody lekarz jest uczciwym człowiekiem.

— W takim razie, wypuść go na wolność! — rzekł Kazimierz, wzruszając ramionami.



„przeraziłbyś się, gdybym ci powiedział — podejrzywa hrabinę Jelską“...

— Widzę, że mówić nie chcesz!... A jednak, pewny jestem, że wiesz o czemś, z czem kryjesz się przedemną. Czy mam cię wezwać do urzędowego biura? ciebie, mego syna... i tam badać cię szczegółowo w obecności pisarza sądowego, który zapisywać będzie twoje odpowiedzi?

— Rób, co chcesz, mój ojcze! — szepnął młody człowiek ze źle ukrywanym gniewem. — A więc oskarżysz mnie także o współudział w zbrodni? może nawet każesz swego syna aresztować?

— Nie!... Gdybym był pewny, że honor twój w tej sprawie na szwank narażony, gdybym winnym cię mniemał... wyjąłbym rewolwer z szafy i powiedziałbym bez ogródek: „Palnij sobie w łeb, natychmiast!“

— O, mój ojcze!... mój ojcze!

— Lecz daleko jest odemnie myśl poczytania cię za zbrodniarza. Myśl taka nigdy nie powstała w mojej głowie. Przypuszczałem jednak... i przypuszczam dotąd, że nazwisko prawdziwego winowajcy nie jest ci obce, choćby dlatego tylko, że byłeś tam, w pałacu, w chwili dokonania mordu.

— Ależ służba hrabiego musiała ci przecie powiedzieć, że wtedy właśnie znajdowałem się wraz z hrabiną w jadalnym pokoju, gdzie oczekiwaliśmy na podanie obiadu. Prawdopodobnie zeznano ci również, że hrabina posłała Selima, aby się dowiedział, co się dzieje z jej mężem... i że murzyn właśnie zawiadomił nas nagle o strasznej katastrofie...

— Prawda, prawda! To samo mówili wszyscy, a jednozgodność ich zeznań, powinnaby zachwiać moje przekonanie. Tak, tak — dodał z westchnieniem — prześladujące mnie wątpliwości powinnyby się rozprószyć. Kto wie?! Może w istocie Marcin Żarski jest mordercą.

I dodał znużony i marzący:

— To jednak fakt potworny!... Co wywołało w sercu niegdyś uczciwego i pracowitego człowieka, taką straszną nienawiść?! O chciwość posądzić go nie mogę, bo sprawdziłem, że nie jest wcale chciwy. Zatem tylko nienawiść popchnęła go do zbrodni. Skazany być musi... i wkrótce osieroci dzieci, bo w katordze, nie wyżyje długo, to rzecz pewna! Żona jego umrze na suchoty; już jej się wiele nie należy. Pozostaną dwie dziewczynki i chłopak cierpiący, prawie kaleka, wraz ze starą, bezradną, ślepą babką... na łasce losu... bez dachu, bez schronienia...

— Mój ojcze! mój ojcze! — szepnął gorączkowo Kazimierz.

— Gencia mi to wszystko opowiedziała, Gencia napełniła moją duszę niepokojem i lękiem, który ty dopiero rozpraszasz. Ona to, godzinę temu, siedząc na fotelu, na którym ty siedziałeś przed chwilą, powtarzała może po raz setny: „Ojcze! szukaj prawdziwego winowajcy, bo Marcin Żarski nim nie jest“.

— Kogoż Gencia obwinia?

— Hrabinę.

— Ależ to szaleństwo! Gencia chyba oszalała!

— W takim razie i Piperstein jest waryatem, bo wczoraj jeszcze mówił do mnie z naciskiem: „Proszę pana sędziego, to pani hrabina Jelska udusiła swego męża sznurem jedwabnym, którym zwykle obwiązuje się w pasie“.

Kazimierz drgnął bezwiednie, lecz wnet zapanował nad sobą. Rozumiał, że to chwila stanowcza, że nie może poddawać się rozstrojowi, owładającemu jego nerwami. Stał wprawdzie przed kochającym ojcem, lecz ojciec mógł lada moment przemienić się w surowego sędziego, który badać go zacznie ściślej niż dotąd. Stalowy wzrok Piotra Molskiego, który już tyle razy przejmował go obawą, mógł zwrócić się naraz ku niemu i zmusić swą przejmującą siłą do szczerego wyznania prawdy. Na szczęście dla Kazimierza, sędzia śledczy zamyślił się głęboko i nie patrzył na syna. Ze skrzyżowanemi na piersiach rękami przechadzał się po swojej obszernej pracowni.

Nagle, jak gdyby znajdował się w towarzystwie Pipersteina — owego ajenta, który natchnął go powątpiewaniem — zaczyna głośno streszczać wszystkie perypetye dramatu, w taki sposób, w jaki łapacz mu je przedstawił. W tym, wschodnią wyobraźnią policyanta odtworzonym obrazie, nie Marcin Żarski, lecz Marcelina siedzi na ławie oskarżonych — ubóstwiana przez Kazimierza Marcelina. Piotr, opisuje niemal dokładnie, jak ona, w towarzystwie jakiejś drugiej osoby, wchodzi do pracowni hrabiego Jelskiego... jak potem dusi męża jedwabnym sznurem... Sędzia, niby pod wpływem wywołanej przez siebie wizyi, zbliża się do syna i szepce mu do ucha:

— Mów!... mów!... Jedno twoje słowo, a wypuszczę Żarskiego na wolność, wrócę nieszczęśliwego ojca opuszczonym dzieciom... Mów! Wyznaj całą prawdę!

Kazimierz, domyślający się podstępu, odpowiada pewnym, zimnym głosem:

— Nie mogę nic dodać do tego, co już zeznałem. Jestem niewinny.

— A twoja ukochana?

— Także niewinna. C. d. n.



Ostatni z Mickiewiczowskiej plejady: Karol Brzozowski poeta zmarły w dniu 5 listopada b. r.

Rewolta Niemców w Insbruku.

(Do illustracyi tytułowej).

Że w Austryi źle się dzieje, że ani parlament ani sejmy krajowe nie są zdolne do jakiejkolwiek pracy, temu winne są jedynie walki narodowościowe, wszczęte przez Niemców i przez nich głównie prowadzone z szalonym szowinizmem i dziką, niepojętą zaciekłością.

Zdaje się im, że cały świat do nich należy, że oni są panami wszystkich innych ludów, więc też uzurpują sobie jakieś nieokreślone prawa, dyktują warunki i żądają, by inne narody, liczebnie większe, posłusznie spełniały ich rozkazy. W razie zaś, gdy spotkają się z oporem, gdy ani inne narody ani rząd nie myślą ustąpić przed nimi, chwytają się demonstracyi, a nawet rewolty, okazując swą cywilizacyę i kulturę najskrajniejszą dzikością.

Widownią takich dzikich zapędów była w ostatnich dniach stolica Tyrolu, Insbruk.

Po długich prośbach, kurrendach i pertraktacyach, Włosi, zamieszkujący Tyrol, otrzymali wreszcie od rządu pozwolenie na otworzenie przy uniwersytecie w Insbruku fakultetu prawniczego z językiem wykładowym włoskim. Niemcy uczuli się tem srodze pokrzywdzeni, a krzywdę uniwersytetu najbardziej odczuli butni bursze, unikający uniwersytetu, jakby jakiejś śmiertelnej choroby. Zagrożono demonstracyami przeciw Włochom, ale rząd nie uląkł się tych gróźb bynajmniej, pozwolenia raz danego nie cofnął i otwarcie włoskiego fakultetu miało się odbyć przed paru dniami. Do Insbruku przybyli na tę uroczystość posłowie włoscy, korespondenci dzienników, studenci i znaczna liczba innych różnych Włochów.

Dzień przed uroczystością, późnym wieczorem, na kilku studentów włoskich, wychodzących z restauracyi „pod białym krzyżem“, napadł tłum podpitych, rozwścieczonych bohaterów-burszów. Studenci włoscy w obronie własnego życia dobyli rewolwerów i poczęli strzelać.

Bursze jak wściekli wykonali szturm na restauracyę, w której bawiło około 120 studentów włoskich, ale policya odparła ten atak i — przyaresztowała wszystkich Włochów.

W ten sposób padło pierwsze hasło do rozruchów, które trwały dwa dni i dwie noce. Żywioł niemiecki szalał, siejąc do koła zniszczenie.

Zdemolowano w ciągu pół godziny gmach fakultetu włoskiego, poniszczono w nim całe urządzenie i to tak, że po przejściu tej burzy nie było ani jednego sprzętu, któryby się nadawał do użytku. Straszne rozgrywały się sceny. Rozbijano sklepy włoskie, szerzono zniszczenie w restauracyach i hotelach, dających przytułek Włochom. Dwa razy wściekły tłum zaatakował zamek cesarski, mieszczący namiestnictwo i powybijał w nim wszystkie szyby. Posłowie włoscy ledwie z życiem uciekli, korespondentów włoskich bito, jakby zbrodnią było to, że zjawili się w Insbruku dla spełnienia swych obowiązków!...

Co tylko nosiło na sobie cechę Włoszczyzny, co sprzyjało Włochom, choćby dlatego tylko, że ciągnęło z nich zyski, to padło ofiarą rozszalałego tłumu demonstrantów, którzy w zacietrzewieniu swem napadali nawet na całkiem obce temu sporowi osoby. Toż staruszce, matce namiestnika Tyrolu, powybijano wszystkie szyby w pomieszkaniu. Dziś Insbruk wygląda tak, jakby straszliwy orkan przeleciał nad nim — lub jak Port Artura po pięciomiesięcznem bombardowaniu. Wszędzie gruzy i rumowiska, widoczne ślady kultury i cywilizacyi niemieckiej!...

To skutki walk narodowościowych, to wyniki szowinizmu niemieckiego, wobec którego obecny rząd jest wprost bezsilny. A jednak trzebaby, aby ten rząd zdobył się raz na energię, aby wytępić ten szowinizm, bo dziś w gruzy padły tylko kamienice tyrolskiej stolicy, a niebawem, gdy dalej tak pójdzie, państwo całe obróci się w perzynę!...

Ostatni z mickiewiczowskiej plejady.

Autor „Maleka“, poeta Wschodu, uczestnik walk z roku 1863, Karol Brzozowski dnia 5 listopada bieżącego roku o godzinie w pół do ósmej wieczorem wydał ostatnie tchnienie.

Syn oficera wojsk napoleońskich, urodzony w r. 1821 w Warszawie, uczęszczał do szkół pijarskich. Gimnazyum ukończył w Sejnach, potem szkołę agronomiczną w Marymoncie, poczem w r. 1842 przeniósł się do księstwa poznańskiego, gdzie go zaskoczyły wypadki z r. 1848, w których wziął czynny udział walcząc w bitwach pod Trzemesznem, Miłosławiem i Wrześnią. Po roku 1848 wyjechał do Drezna, a stąd do Szwajcaryi i wreszcie do Paryża, gdzie się zapoznał z Adamem Mickiewiczem i otrzymał od niego gorące pochwały za przekłady „Osmanidy“ Gandulicza... Niestety przekład ten zaginął bez wieści. Po wybuchu wojny krymskiej, udał się na Wschód, jako wysłannik emigracyi i tu przybywszy do Stambułu, obłożnie zachorował. Przyszedłszy do zdrowia spędził czas jakiś na azyatyckim brzegu wraz z Józefem Akordem i Andrzejem Gębką, utrzymując się z polowania.

W r. 1855 przybył Brzozowski do Stambułu, gdzie znów obcował z Mickiewiczem, poczem zamieszkał w Latakie i ożenił się tam z panną Eulalią Bellier, z którą miał trzech synów i trzy córki, Stanisława, co przed paru laty skończył tragiczną śmiercią w Warszawie, Wincentego i Huberta oraz Maryę, zamężną za p. Boulos w Syryi, Bertę, która poszła za inżyniera Zaklikę i Jadwigę.

Gdy nadszedł rok 1863 porzucił żonę i dzieci i wstąpił w szeregi obrońców ojczyzny, a gdy stracono wszystkie nadzieje, gdy skończyła się walka orężna, powrócił na wschód i wstąpił znów do służby tureckiej, gdzie jako inżynier zajęty był zakładaniem drutów telegraficznych.

Z kolei przebywał znów stale w Latakie jako wicekonsul hiszpański. W r. 1883 dla wychowania dzieci osiadł stale we Lwowie i pracował w Wydziale krajowym aż do chwili, w której choroba powaliła go na łoże boleści.

Nie posiadamy zbiorowego wydania jego dzieł i utworów, wśród których „Noc strzelców w Anatolu“ i „Malek“ pierwsze zajmują miejsce, bo poeta drukował swe utwory w pismach peryodycznych i nie troszczył się o nie. Wielką więc zasługę będzie miał



Kształcenie ludu: Grupa uczestników kursu sadownictwa w Złoczowie wraz z kierownikiem kursu p. Poluszyńskim.



Biedna opuszczona dziatwa. Fot. Artur. Kraków.
Ks. prałat dr. Władysław Bandurski.

ten, który podejmie się tego wydawnictwa, bo Brzozowski był poetą niepośledniej miary.

Gorąca jego dusza, opłomieniona talentem, wyśpiewała cały szereg pieśni bogatych w koloryt, fantazyę i takie głębokie myśli, na jakie nie stać naszych współczesnych poetów.

Nad świeżym grobem sędziwego wieszcza, wiernego syna ojczyzny wraz z całym narodem ronimy łzy żalu, poświęcając mu tych kilka słów wspomnienia.

Cześć jego pamięci, która w sercach naszych nigdy wygasnąć nie powinna i nie wygaśnie!...

Kształcenie ludu.

Istotnie, za wielką zasługę należy u nas w obecnej dobie poczytać każdy fakt dowodzący, że inteligentniejsze warstwy społeczeństwa troszczą się o swych młodszych, mniej wykształconych braci i starają się o ich oświatę, gdyż ospałość nasza jest znana a brak wszelkiej chęci do pracy dla idei oświaty cechuje nas niestety i wiąże nasz lud wciąż na jednym i tym samym najniższym stopniu kultury.

Z radością więc witamy każde zjawisko takiej pracy nad wykształceniem ludu, czy to pod względem ogólnych, czy to pod względem fachowych wiadomości i zjawiska tego rodzaju nie możemy pominąć milczeniem i nie pominiemy go nigdy, gdyż może niejednemu tych kilka słów pochwały doda zachęty i ochoty do dalszych wysiłków na tem polu.

Stosownie do tej zasady, dziś poświęcamy parę słów kursowi sadownictwa, który odbył się w Złoczowie staraniem głównego Zarządu Związku Kółek rolniczych.

Sadownictwo u nas kiełkuje dopiero. Lud wieśniaczy częścią nie pojmuje jeszcze, że ta gałęź pracy koło gospodarstwa domowego może mu przysporzyć łatwych i znacznych korzyści, częścią zaś pojąwszy to nie zna najważniejszych zasad sadownictwa i nie umie obchodzić się z drzewami owocowemi i dlatego potrzebną mu jest nieodzownie nauka o hodowli drzew owocowych.

Kurs teoretyczny i praktyczny sadownictwa w Złoczowie trwał cztery dni, od 18 do 22 października, a wykładał fachowy instruktor sadownictwa ze Lwowa p. Poluszyński, który na tem polu zyskał już sobie znaczne zasługi. Z prelekcyi korzystało około czterdziestu słuchaczy przybyłych z całego okręgu złoczowskiego.

Kurs, chociaż trwał bardzo krótko, wzbudził ogromne zainteresowanie i zapewne Zarząd Związku Kółek rolniczych co roku da w ten sposób poznać, że o okręgu złoczowskim nie zapomina, tembardziej, że sadownictwo, choć powoli, zaczyna się tam coraz bardziej rozwijać i lud już teraz ze sprzedaży owoców zaczyna ciągnąć korzyści.

Biedna opuszczona dziatwa.

Biedna opuszczona dziatwa, zdana na łaskę losu i własnego instynktu, wałęsająca się po zaułkach przedmiejskich, dziatwa, w której dusze pada tylko zły posiew, doprawdy godną jest litości!...

Chłopcy i dziewczęta puszczeni samopas, ofiary głodu i chłodu, pozbawione opieki rodziców, którzy zapracowują się ciężko, byleby zdobyć grosz na kawałek suchego chleba, to smutny kontyngent, z którego rekrutują się zbrodniarze i ulicznice.

Z niewinnych duszyczek, z najpoczciwszych w gruncie rzeczy charakterów, zły przykład i wpływ tego, co krótko nazywamy „ulicą“ lub „rynsztokiem“, wyrabia kandydatów na kryminalistów i kryminalistki, tworzy ludzi bez czci i wiary, gotowych do popełnienia każdej, choćby najpotworniejszej zbrodni, jeśli tylko celem jej jest zaspokojenie własnych chuci...

Kto rozumie, kto umie ocenić całą grozę tej wiecznie niestety krwawiącej i tak bolesnej rany społeczeństwa, a nie poprzestaje jedynie na gołosłownej litości, na uronieniu łzy nad tem nieszczęściem, ale gdzie tylko może, gdzie mu się trafia sposobność, tam dokłada wszelkich starań, byleby tylko przyczynić się do zabliźnienia tej rany, ten śmiało może dumnie wznieść czoło i rościć sobie pretensye do zasług, przed tym społeczeństwo powinno czołem uderzyć!

A cóż dopiero można powiedzieć o tych, co wiedzeni prawdziwą filantropią, całe swe życie poświęcają na ten cel i wyzbywszy się wszystkich innych pragnień, patrzą tylko, gdzieby „ulicy“ i „rynsztokowi“ wyrwać jak najwięcej tej dziatwy, która musi paść łupem zła, które gwałtem wciska się do serc i umysłów tej opuszcznej dziatwy!...

Takim ludziom należy się ze strony społeczeństwa i hołd i wdzięczność za ich pełną zaparcia się, żmudną pracę; należy się im materyalne i moralne poparcie, a szczęśliwem można nazwać miasto, w którem znajdzie się choć jeden taki człowiek!...

I Kraków jest na tym punkcie szczęśliwy, bo ma takiego filantropa w osobie pani Żurawskiej.

Zacna ta kobieta niema innej troski, jak tylko tę jedną, aby molochowi ulicy wydrzeć z gardła jak największą liczbę ofiar. Pracę swą zaczęła ona, nie mając żadnych środków materyalnych, od małego. Zawiązkiem dzisiejszego jej domu dla opuszczonej dziatwy, który wznosi się przy ulicy Senatorskiej na Półwsiu Zwierzynieckiem, było jedno jedyne dziecię, sierota po jakiejś ubogiej wyrobnicy, którą pani Żurawska po śmierci matki przygarnęła do siebie.

W ciężkich warunkach rozpoczęta zbożna praca pani Żurawskiej wydała obfite owoce. Nie oglądając się na żadne trudności, dzielna kobieta garnęła do siebie biedną, opuszczoną, pół dziką dziatwę. Szeregi jej pupilek wzrastały, a nikt nie wiedział o tej pracy, nikt nie wspierał pani Żurawskiej w ciężkiej walce, jaką musiała toczyć z brakami finansowymi.

Aż wreszcie wieść o jej błogosławionej działalności przez tych maluczkich dotarła do uszu księdza prałata dra Władysława Bandurskiego.

Zacny kapłan otoczył zaraz swą opieką opiekunkę opuszczonej młodzieży. Słowem i drukiem nawoływał, zachęcał i błagał społeczeństwo, by niosło wydatną pomoc poświęcającej się tak szczytnej idei kobiecie, a głos jego nie pozostał na szczęście głosem wołającego na puszczy. Drogą składek i datków pani Żurawska zdołała zdobyć kapitalik i zbudować na Półwsiu zwierzynieckiem własny dom dla opuszczonej dziatwy, który dwa tygodnie temu oddała już na publiczny użytek.

Pani Żurawska nie ustaje w pracy, wspierana przez księdza Bandurskiego, ale społeczeństwo nasze nie powinno o niej, ani o jej instytucyi zapominać, nie powinno szczędzić jej dalej poparcia, poprzestać na dotychczasowej ofiarności.

Stała pomoc, bezustanna pamięć o potrzebach opuszczonej dziatwy i jej opiekunki mogą jedynie gwarantować dalszy rozwój tej tak potrzebnej, tak dobroczynnej instytucyi.



(Treść na str. 6). Fot. Sebald. Kraków.
Awans komendanta korpusu krakowskiego: Jenerał broni Adolf Horsetzky von Hornthal.



Biedna opuszczona dziatwa: Fot. Jabłoński. Kraków.
Zakład pani Żurawskiej przy ulicy Senatorskiej w Półwsiu zwierzynieckiem.

Awans komendanta krakowskiego korpusu.

W listopadowym tegorocznym awansie wojskowym cesarz Franciszek Józef I., jako najwyższy i naczelny wódz armii austryacko-węgierskiej, posunął komendanta krakowskiego korpusu, feldmarszałka-porucznika Adolfa Horsetzky'ego von Hornthal na najwyższy szczebel hierarchii wojskowej i zamianował go jenerał-zbrojmistrzem.

Stanowisko to objął on po baronie Alborim.

Ekscelencya Horsetzky, który oprócz swej wojskowej godności jest tajnym radcą dworu, w roku 1865 po ukończeniu akademii wojskowej w Wiener Neustadt jako porucznik został przydzielony do 30 batalionu polnych strzelców, obecnie stojącego załogą w Brodach, a w rok później brał już udział w wojnie pruskiej i w bitwie pod Chlum został zraniony. Po wyzdrowieniu został powołany do generalnego sztabu, gdzie pełnił różne funkcye, a między innemi był szefem biura operacyjnego i nauczycielem w szkole wojennej. Z kolei przydzielono go znów do służby liniowej i jako majorowi oddano komendę 33 batalionu strzelców. Posunięty na podpułkownika, a później na pułkownika w r. 1891 został jenerał-majorem i objął komendę 12 brygady pieszej, konsystującej załogą w Klagenfurcie. W r. 1895 mianowany feldmarszałkiem-porucznikiem przybył do Krakowa, gdzie poruczono jego zwierzchnictwu 12 dywizyę piechoty i na tem stanowisku pozostawał aż do 2 grudnia 1903 r. W tym dniu został komendantem korpusu krakowskiego w miejsce barona Alboriego, któremu cesarz powierzył rządy Bośni i Hercegowiny.

Pierś Ekscelencyi Horsetzky'ego zdobi cały szereg orderów, jawny dowód jego zasług; z austryackich odznak honorowych posiada komendant naszego korpusu order Żelaznej Korony II. klasy, krzyż orderu Leopolda, medal zasługi wojskowej, medal wojenny, pamiątkowy medal jubileuszowy i służbową odznakę dla oficerów III. klasy, zaś z zagranicznych krzyż maryański orderu niemieckich rycerzy, order francuskiej legii honorowej, krzyż oficerski włoskiego orderu Maurycego i Łazarza, order pruski Czerwonego Orła II. kl. i krzyż komturski Albrechta II. kl., a oprócz tego nowy jenerał-zbrojmistrz jest właścicielem 90 pułku piechoty.

Wojskowość awans swego wodza obchodziła uroczyście korowodem z pochodniami i lampionami, w którym oprócz wszystkich muzyk pułków, stojących załogą w Krakowie, wzięli udział delegaci wszystkich gatunków broni.

Z tego poznać można, jaką sympatyą i miłością cieszy się Ekscelencya Horsetzky.



O dobra tłumackie: Główny obwiniony Zygm. Regenstreif.



O dobra tłumackie: Współoskarżony Wł. Jaworski.



O dobra tłumackie: Współoskarżony Piotr Bławatny.



O dobra tłumackie: Oskarżony Mechel Tittman.

O dobra tłumackie.

Przedmiotem rozprawy karnej, rozprawy, która została rozpisaną na trzy tygodnie i toczy się we



Echa uroczystości mickiewiczowskich we Lwowie: Młodzież gimnazyum brodzkiego, która brała udział w odsłonięciu pomnika Mickiewicza we Lwowie. Fot. Buxdorf, Brody.

Lwowie przed specyalnie wylosowaną na ten cel ławą sędziów przysięgłych, są ongiś olbrzymie, milionowej wartości dobra tłumackie, własność Emila Filipa Jahna, zrujnowanego obecnie do szczętu „dzięki“ zapobiegliwości pełnomocników właściciela o swe własne kieszenie.

Przed kilku laty lwowski sąd krajowy karny jednego z takich pełnomocników wraz z całym jego sztabem skazał na więzienie. Była to sprawa znana pod mianem „Gumiński *et consortes*“.

Zdawało się wówczas, że pełnomocnikom dóbr tłumaikich po takim przykładze raz na zawsze odejdzie chętka wzbogacania się kosztem chlebodawcy. Niebawem jednak pokazało się, że nauka w las poszła.

Po Gumińskim rządy dóbr tłumackich objął człowiek wielkiej prawości i doskonały gospodarz, ale wkrótce rozstał się z tym światem i miejsce jego zajął Zygmunt Regenstreif, właściciel dóbr, który sam zgłosił się do banku hipotecznego, będącego głównym wierzycielem klucza tłumackiego i oświadczył gotowość objęcia zarządu tych rozległych włości. Sąd obwodowy propozycyę banku hipotecznego w tym kierunku zatwierdził i Regenstreif rozpoczął swe urzędowanie, a rozpoczął je bardzo mądrze, bo w pierwszym roku, mimo, iż kilka fol-



O dobra tłumackie: Przewodniczący trybunału radca Jasiński.



O dobra tłumackie: Adwokat dr. Eugeniusz Reiter obrońca Sokołowskiego.

warków w drodze licytacyi odpadło od klucza, wykazał w dochodach nadwyżkę w kwocie 128.386 koron z halerzami, która pokryła dwie raty bankowe i w sprawozdaniu swem zaznaczył, że ze sprzedaży zbiorów należy spodziewać się dochodów w cyfrze 449 tysięcy koron, co w dalszym ciągu pozwoli nietylko umorzyć długi bankowe, ale i zacząć powoli upłacać pretensye innych wierzycieli.

W sprawozdaniu tem dodał mądry Regenstreif, że wskutek zajęcia się Tłumaczem w własnych dobrach musi utrzymywać zastępców i ponosi znaczne szkody, a sąd stanisławowski, uwzględniając to, wyznaczył mu za gorliwą pracę wynagrodzenie skromniutkie, bo „marne“ 1.400 koron na miesiąc.

Regenstreif przy pomocy całego sztabu, który dziś zasiada obok niego na ławie oskarżonych, zaczął dalej gorliwie gospodarzyć, ale gospodarzyć dla własnych zysków, tak, że w drugim rachunku dochody wynosiły 517.995 koron 71 halerzy, a rozchody bez umorzenia rat bankowych 517.874 kor. i 96 halerzy tak, że cała nadwyżka wynosiła zaledwie 120 koron i 75 halerzy!...

Zdumiony taką dziwną gospodarką i tak nagłą zmianą dochodów dr. Aleksiewicz, adwokat Jahna, wniósł przeciw Regenstreifowi zarzuty i szczegółowo wykazał jego nadużycia w poszczególnych działach administracyi, chowanie pewnych dochodów do własnej kieszeni, karygodną lekkomyślność i rozrzutność w zarządzie gospodarstwa i t. d.

Sąd już miał wdać się w tę sprawę, gdy adwokat Aleksiewicz zarzuty swe, oparte na rachunkach Władysława Pawelskiego, szwagra Jahna, cofnął. Niebawem okazało się zaś — dlaczego. Oto dowcipny Regenstreif zatkał Pawelskiemu gębę, ofiarując mu tytuł inspektora dóbr tłumackich z płacą 400 koron na miesiąc i zrzekając się na jego rzecz dwustu pięćdziesięciu morgów plebańskich gruntów.

W ten sposób z całej afery wyszedł Regenstreif obronną ręką i dalej gospodarował po swojemu, aż w końcu starosta tłumacki, Maurycy hr. Dzieduszycki wpadł na trop tych defraudacyi i oddał całą sprawę do zbadania prokuratoryi, która wykryła straszny bezład w książkach gospodarczych, oszukańcze manipulacye w rachunkach przy sprzedaży produktów rolnych, w handlu bydłem, drzewem i tym podobnych różnych gałęziach gospodarstwa.

I 3 listopada przed trybunałem, któremu przewodniczy radca J a s i ń s k i, a w którego skład wchodzi między innymi znany i wielce ceniony prawnik, radca S a w c z a k, zasiadł jako oskarżony „pan“ Zygmunt Regenstreif z całą falangą swych pomocników. Towarzyszy mu więc w tej krzyżowej drodze jego żywota rządca dóbr tłumackich Karol S o k o ł o w s k i, handlarze wołów dwaj bracia N e u f e l d o w i e, ekonom Władysław J a w o r s k i, dozorca stajenny Piotr B ł a w a t n y i konsument mleka pachciarz Mechel T i t t m a n n. Brakuje jednego z oskarżonych Lejzorka G r o s s a, który uważał za korzystniejsze przenieść się przed rozprawą na wolną ziemię amerykańską. Jako obrońcy występują dwaj najlepsi adwokaci lwowscy: dr. Grek, poseł do Rady państwa, który broni Regenstreifa i dr. Eugeniusz Reiter, obrońca Sokołowskiego. Reszta oskarżonych uciekła się pod opiekuńcze skrzydła dra Dwernickiego.

Do senzacyjnego tego procesu powrócimy jeszcze zapewne i do dziś zamieszczonych ilustracyj dołączymy inne wraz z podaniem najciekawszych momentów rozprawy i jej ostatecznego wyniku.



O dobra tłumackie: Wotant trybunału radca Sawczak.

Echa uroczystości mickiewiczowskich we Lwowie.

Wśród ogromnych tłumów, które w dniu 30 października brały we Lwowie udział w uroczystości odsłonięcia kolumny Adama Mickiewicza i składały hołd nieśmiertelnej pamięci największego z naszych poetów, nie brakło i młodzieży gimnazyalnej.

Najwięcej jednak do serca przypadła wszystkim grupa uczniów niemieckiego gimnazyum z Brodów, którzy mimo wpajanej w ich umysły niemczyzny, wraz z kilku zacnymi profesorami, z własnej inicyatywy, pospieszyli obecnością swą u stóp kolumny wieszcza dać dowód, że w żyłach



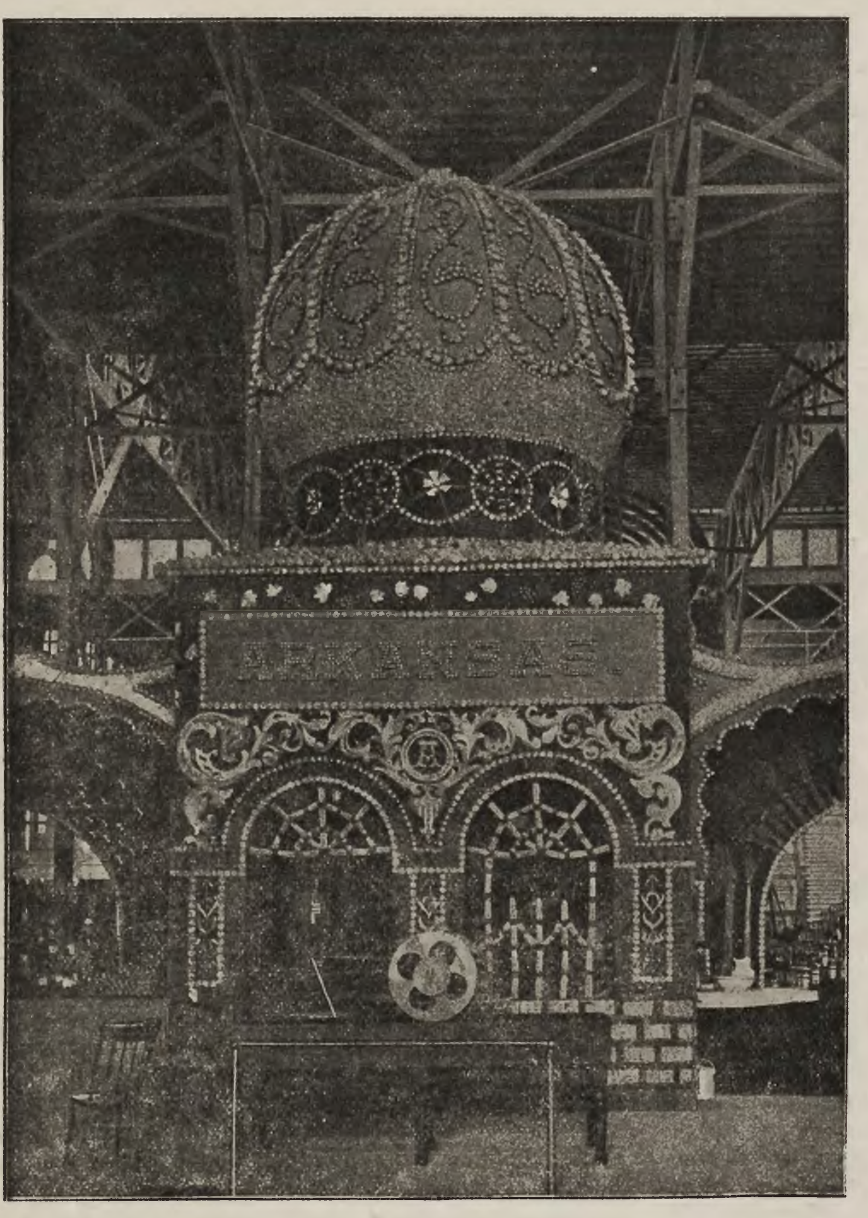
O dobra tłumackie: Poseł dr. Grek, obrońca Regenstreifa.

ich płynie krew polska, że pamiątki i święta narodowe są im tak samo drogie, jak i tym ich rówieśnikom, co czerpią wiedzę w polskim języku!...

I wraz z całym narodem schyliła swe czoła przed potęgą wieszcza, ta młodzież, którą hakatystyczne jednostki, niestety nie będące rzadkością w Brodach, chciałyby przerobić na swoje kopyto...

Widocznie nie zbyt silnie działa język niemiecki na młode dusze, widocznie, że żądanie, aby więzy tego rodzaju krępujące wykłady i studya tej młodzieży zerwano wreszcie, jest zupełnie uzasadnione, zwłaszcza, że Brody są polskiem miastem, więc w polskim języku powinna się tam młodzież kształcić, a rząd obowiązany jest, zwłaszcza po obecnej uchwale tamecznej rady gminnej, jak najrychlej usunąć tę dotychczasową anomalię, owo gimnazyum niemieckie w rdzennie polskiej sadybie.

Ilustracya zamieszczona w obecnym numerze przedstawia uczestników tej wycieczki młodzieży brodzkiej do Lwowa, na uroczystości mickiewiczowskie.



Z wystawy w St. Louis: Pawilon Stanu Arkansas skonstruowany z ziarn kolb i łodyg kukurydzy.

Z wystawy w St. Louis.

I znów wracamy do tegorocznej wystawy światowej w St. Louis, wystawy tak ciekawej, tak różnorodnej, o której śmiało powiedzieć można, że jest odzwierciedleniem życia i pracy ludzkiej na całym globie ziemskim.

Ogółem wziąwszy na każdej wystawie dział rolniczy nie interesuje szerokich mas publiczności, a specyalne wystawy obejmujące tę gałąź pracy ludzkiej wzbudzają jedynie zajęcie wśród fachowców, czyli tylko wśród ogrodników i rolników, podczas gdy większa część publiczności zwiedza je dlatego, że uważa każdą taką wystawę za sezonowy grymas, któremu dla mody trzeba poświęcić swą uwagę i dla oka udawać wielkie zainteresowanie.

To jest prawda, której dowodzić nie potrzeba, bo potwierdzenie jej każdy czyta na dnie duszy, ale ta prawda, choć jest regułą, ma swoje wyjątki, a takiem wyjątkiem jest wystawa w St. Louis gdzie dział rolnictwa co dnia roi się od ciekawej publiczności, która w niemym podziwie tłoczy się do hal i pawilonów oddanych na użytek okazów produkcyi rolniczych.

Istotnie nie pomyliłby się ten, ktoby nazwał ten dział najwspanialszym, najbardziej godnym uwagi i podziwu!

Wszystkie Stany wystąpiły tu z okazami swej flory. Oko widza ślizga się z przedmiotu na przedmiot, a widok, jaki przesuwa się przed zwiedzającymi wiąże ich uwagę, przykuwa myśl ich do siebie i wzbudza, musi nawet w najbezmyślniejszym człowieku wzbudzić zainteresowanie!

Bo i czegoż tu niema?! Tu złoci się wzniesiona z ziarna jęczmiennego kolumnada koryncka, tam martwem okiem spogląda na otaczający go tłum olbrzymi naturalnej wielkości słoń zrobiony z... orzechów amerykańskich. Arkanzas sławny z produkcyi kukurydzy zbudował cudny pawilonik w neobizantyńskim stylu, ozdobiony kopułą w kształcie korony z ziarn, kolb i łodyg tej rośliny. Kanada chwali się swoją pszenicą z której wzniosła gmach *à la secession*, nader misternie wykonany i nie wielki, bo... liczący tylko 20 metrów wysokości!...

Całe szeregi takich budowli w najrozmaitszym stylu i kształcie skonstruowane z najróżnorodniejszych okazów flory amerykańskiej, z bawełny, z kory drzewa Indygo, z owoców, z pestek i t. p. imitacye płaskorzeźb, postacie zwierząt, a wszystko to zrobione z wyżej wyliczonych materyałów błyszczące kolorami tęczy, wpada w oko widzów i wywołuje okrzyki zachwytu.

Ameryka w tym dziale wystąpiła godnie i ma się czem pochwalić, a zwłaszcza przedewszystkiem zestawieniami statystycznemi, według których widać, że choć ludność jej wynosi zaledwie 5% ogólnej liczby mieszkańców całej kuli ziemskiej to z ogólnej produkcyi światowej przypada na ziemie amerykańskie 80% bawełny i 25% pszenicy. To są cyfry w stosunku do liczby ludności tak olbrzymie, że wierzyć się w nie nie chce, a jednak w obliczeniach tych nie ma ani umyślnej, ani przypadkowej omyłki.

Amerykę śmiało można zatem nazwać królową rolnictwa na ziemi.

Nie ograniczamy się jednakże na podaniu kilku takich ciekawych okazów z tego działu, lecz zamieszczamy podobizny dwóch gmachów, z których wszyscy mogą sobie bodaj mniej więcej wyrobić pojęcie, jak olbrzymią musi być ta wystawa w St. Louis, skoro obfituje w takie ogromne gmachy i tak obszerne place.

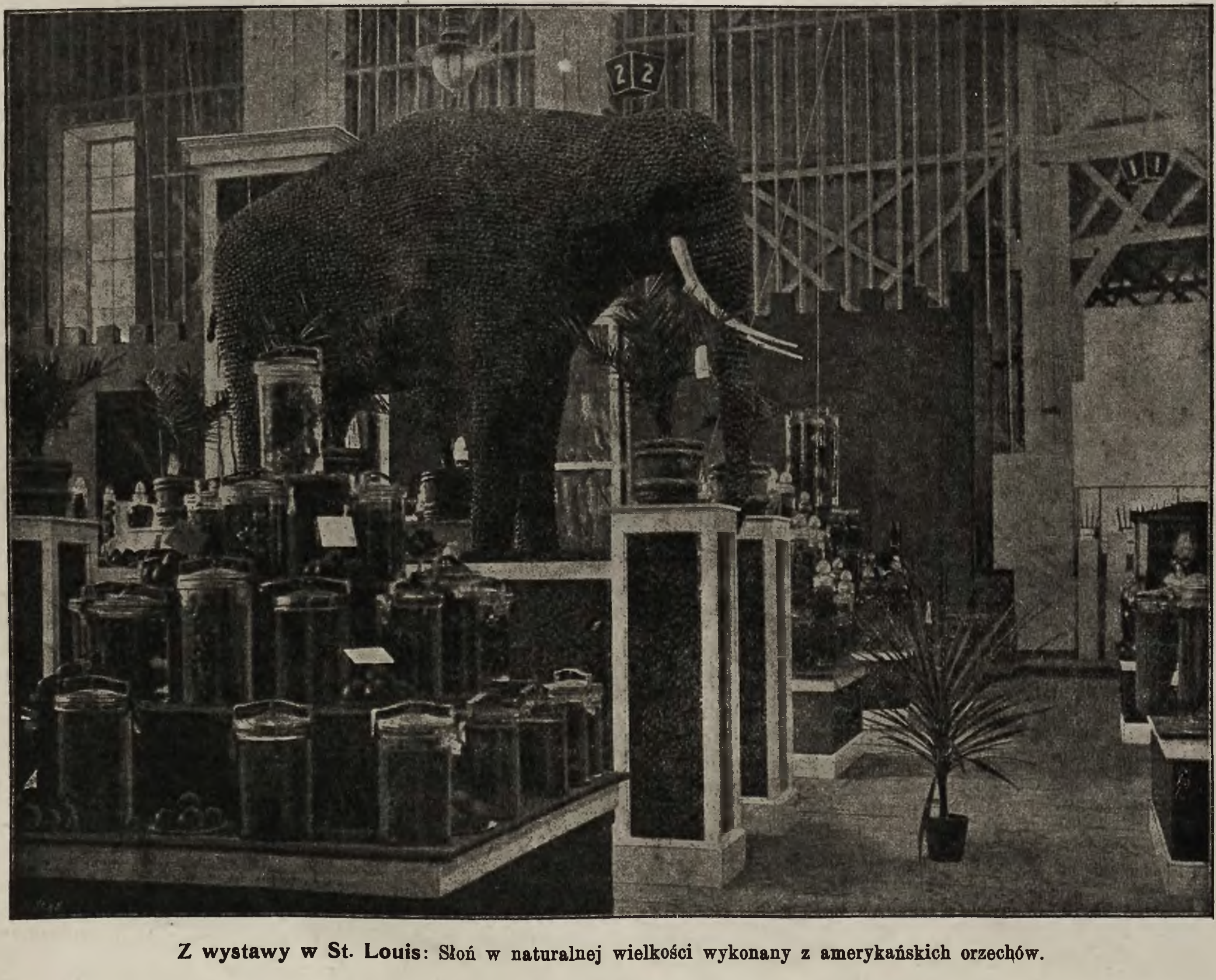
Wspaniały pawilon o czterech wieżach w staroniemieckim stylu ozdobiony wzdłuż swych dwóch frontów kolumnadą dorycką nader misternej roboty, a przeznaczony na okazy najróżnorodniejszego przemysłu został wzniesiony skromnym kosztem trzystu tysięcy dolarów, a otoczony skwerami bardzo gustownie urządzonymi i utrzymanymi w iście amerykańskim systematycznym porządku jest prawdziwą ozdobą wystawowego placu.

Nie mniej zajmująco przedstawia się i to zarówno wewnątrz jak zewnątrz gmach administracyi państwowej Stanów Zjednoczonych, zbudowany na wzór nowoczesnych imitacyi budowli z końca średniowiecznych a początku nowożytnych czasów i ozdobiony kępami podzwrotnikowej roślinności.

Podając te luźne obrazki i uwagi o wystawie w St. Louis, chociaż dla braku miejsca nie wdajemy się w szczegóły, mamy przekonanie, że spełniamy nasz cel, zapoznając naszych czytelników choć pobieżnie tylko z tak ciekawą i godną uwagi sprawą, świat cały obchodzącą.



Japoński cesarz i dwór jego: Obecny mikado Mutsu-Hito



Z wystawy w St. Louis: Słoń w naturalnej wielkości wykonany z amerykańskich orzechów.

Japoński cesarz i dwór jego.

Oczy całego świata zwrócone są obecnie na Japonię, która w bohaterskich zapasach z rosyjskim kolosem, miała już sposobność dowieść, że posiada wszystkie dane do osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa.

Nie od rzeczy zatem będzie zapoznać Czytelników z bliższemi szczegółami dotyczącymi żółtego władcy i dworu jego.

Obecny mikado Mutsu-Hito jest człowiekiem wysokiego wykształcenia i humanitarnych zasad. Jemu zawdzięcza Ja-

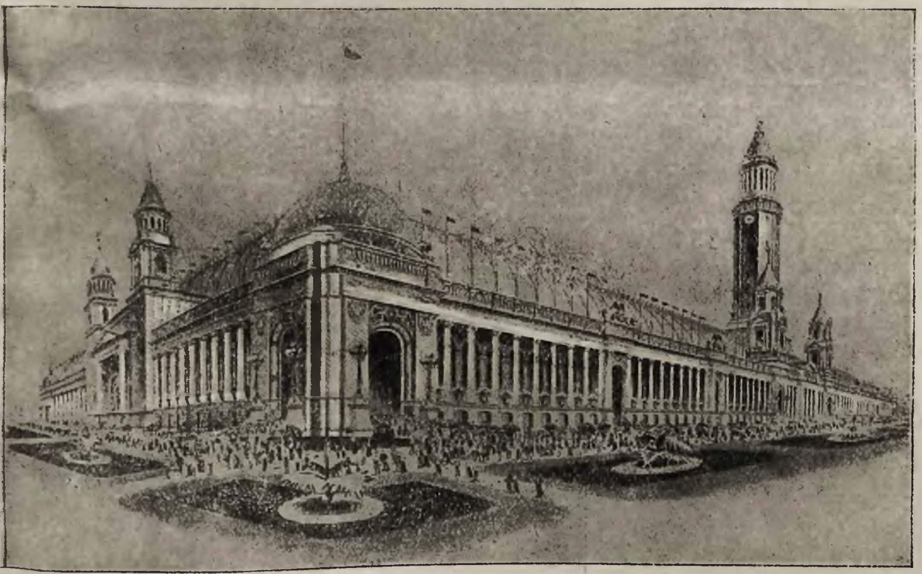
ponia wszystkie instytucye i urządzenia, które postawiły ją w rzędzie cywilizowanych państw świata. Nadał więc narodowi konstytucyę, urządził wzorowo szkoły i wyższe zakłady, zreformował wojsko na modłę europejską i sam — wbrew zwyczajowi wschodnich władców — bierze żywy udział we wszystkich sprawach państwa. To też poddani



Japoński cesarz i dwór jego: Ces. Karuko, żona mikada.

odpłacają mu miłością i wdzięcznością za wszystkie dobrodziejstwa, które z wysokości tronu spływają na nich.

I obecnie w niebezpiecznym paroksyźmie krwawej wojny. Mikado zachowuje zimną krew, a ma-



Z wystawy w St. Louis: Pawilon na okazy najróżnorodniejszego przemysłu.

jąc z natury bystry zmysł obserwacyjny, sam kieruje obradami wojennej rady, nie gardząc przytem wskazówkami zdolnych strategików.

Chcąc dać przykład poświęcenia swym poddanym — w krytycznych bądź co bądź dla Japonii chwilach obecnych — zaprowadził Mikado znaczne oszczędności w wydatkach osobistych i dworskich. Zmniejszył mianowicie personal urzędników dworskich — sam dobrowolnie zredukował sobie listę cywilną, a każdy grosz w ten sposób zaoszczędzony składa ochotnie na ołtarzu wojującej ojczyzny. Niemniej i żona mikada, cesarzowa Karuko, odmawia sobie obecnie wiele z kosztownych wydatków i przyjemności, dla których dotychczas poświęcała swój czas i środki.

Cesarstwo japońscy są poślubieni od r. 1869. Żona mikada pochodzi z prastarej rodziny Fudżiwasa Iczidżio. Dzieci mają czworo, z tego dwóch synów i dwie córki; następcą tronu jest książę Joszihito Harunomja.

Stosunki rodzinne domu cesarskiego są niezmiernie serdeczne i prawdziwie patryarchalne. Wzajemna miłość i szacunek, panujące w rodzinie mikada, stały się niemal przysłowiowemi u ludu, oddanego do ostatniej kropli krwi ukochanemu swemu władcy.

Kobieta-demon.

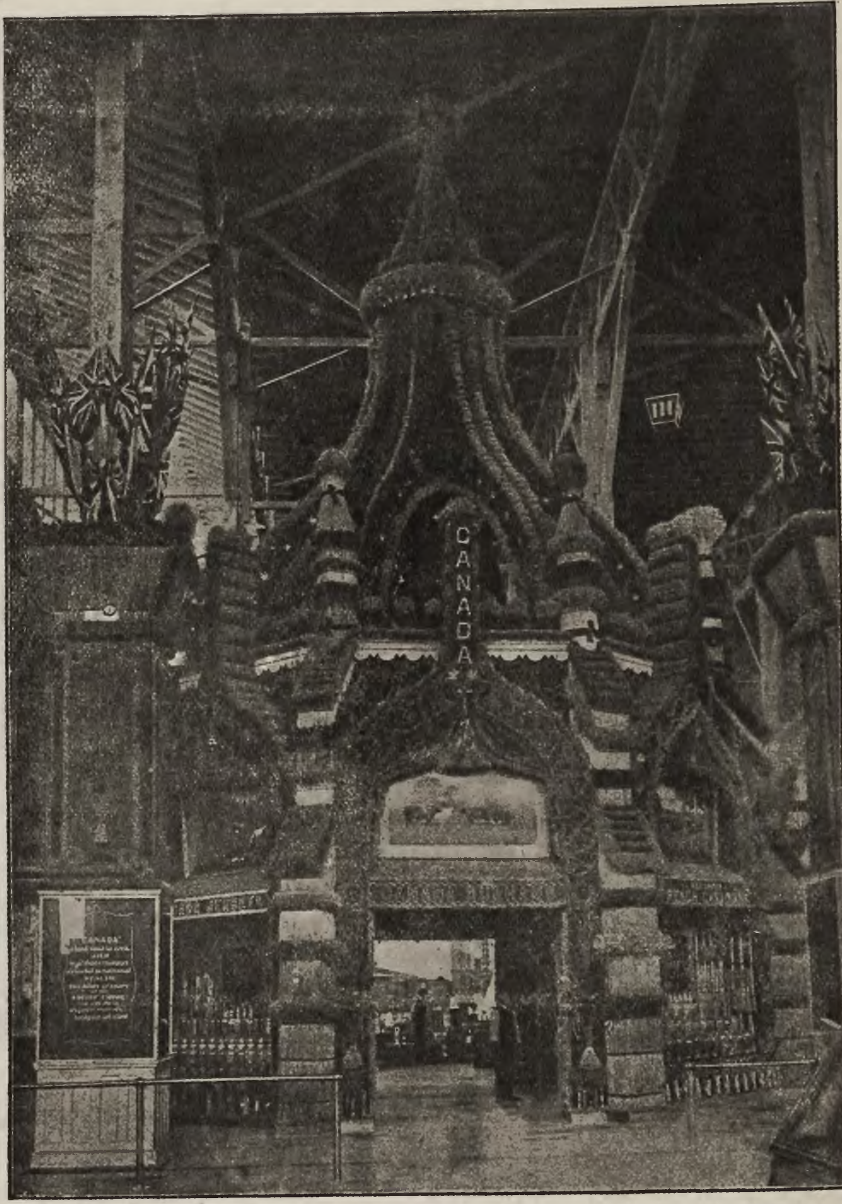
Swego czasu niezwykłe zainteresowanie wzbudził wśród wiedeńskiego światka tragiczny zgon starosty z Mürzzuschlagu von Hervaya, który wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Dobę zaledwie tajemnica okrywała przyczyny tego tragicznego kroku von Hervaya, bo po upływie doby, zanim jeszcze zwłoki jego złożono do grobu, nowa senzacya, rzucająca światło na tę pierwszą, zajęła umysły całego Mürzzuschlagu: oto prokuratorya państwa osadziła w więzieniu śledczem, piękną, młodą małżonkę denata, Leontynę von Hervay i to — pod zarzutem bigamii.

Wieść o aresztowaniu pani von Hervay rozgorączkowała wszystkich, którzy ją znali, a zwłaszcza na płci brzydkiej zrobiła szalone wrażenie.

Tę piękną von Hervay, u której stópek klęczały roje wielbicieli, która działała na mężczyzn jak haszysz na wyznawców Proroka z Mekki aresztowano i pod zarzutem takiej ciężkiej zbrodni, jak bigamia!

Mężczyźni nie chcieli w to wierzyć, kobiety, którym powodzenie i hołdy składane Hervayowej były solą w oku, skakały z radości, a każdy oczekiwał z niecierpliwością, co wykryje karząca dłoń sprawiedliwości i jaki los spotka piękną kobietę.



Z wystawy w St. Louis: Pawilon Stanu Canada zbudowany z ziarn pszenicznych

Nie czekano długo. Sąd wydał wyrok skazujący ją na cztery miesiące więzienia.

A teraz krótki szkic historyi życia tej damy:

Czy była piękną? mężczyźni zachwycali się nią, kobiety nie uznawały jej nawet za przystojną.

Bezstronnie mówiąc, piękną może nie była wcale; brakło jej klasycznych rysów twarzy, brakło jej tego, co uważamy za piękność u kobiety — a jednak mimo wszystko działała na mężczyzn wspaniałą, majestatyczną swą postacią, dzikim blaskiem czarnych ogromnych źrenic rozsuwających się i zmniejszających, jak u kotki, swojem wysokiem wykształceniem i tem jakiem dziwnem nieuchwytnem czemś, co w sercach mężczyzn budzi większe pożądanie, niż piękność klasyczna, niż urok korony, niż pełne dystynkcyi obejście się dam z prawdziwej arystokracyi.

Leontyna von Hervay, jak demon wpijała się w serca i myśli męskiego otoczenia swego, doprowadzała nerwy do najwyższego napięcia — a była ambitną!

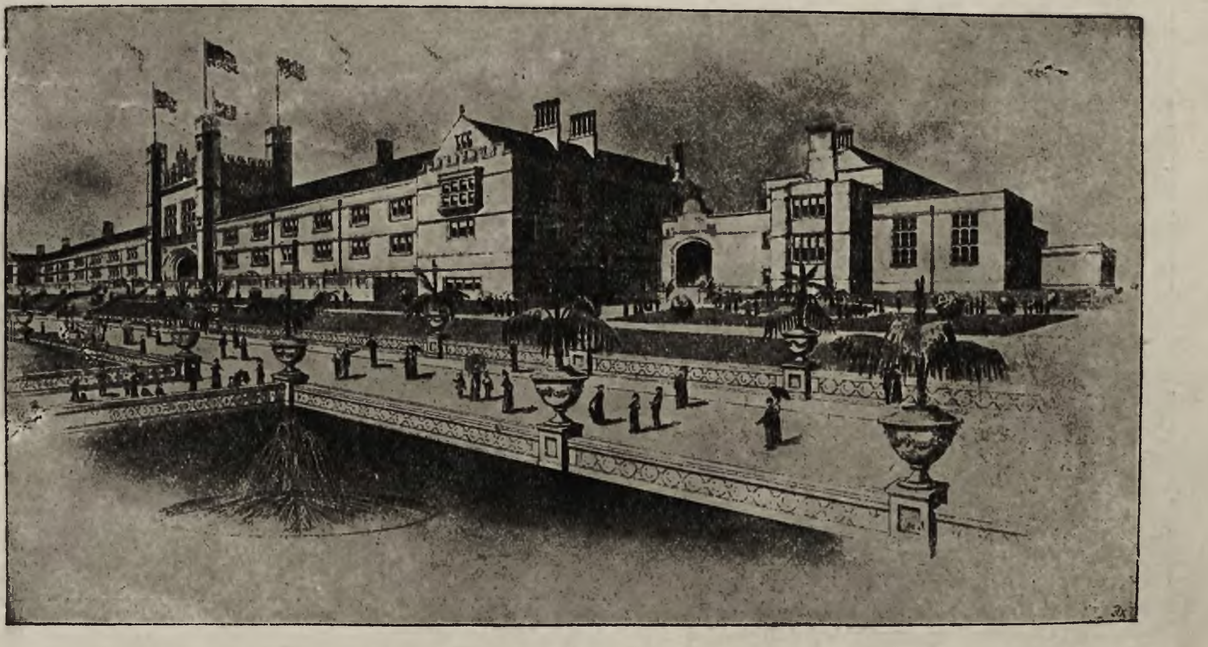
Ta ambicya, ta chęć zdobycia możliwie jak najwyższej pozycyi społecznej, żądza wzniesienia się za jaką bądź cenę rzucała ją w objęcia różnych mężczyzn, lecz nie jako kochankę! Na to Leontyna była za dumną. Żoną być mogła, kochanką nigdy być nie chciała!

Ale gdy który z nich nie zaspokoił jej nadziei rzucała go na drodze... rozwodu.

Primo voto pani Cuntzowa, połowica spokojnego i zamożnego ajenta handlowego, niebawem została panią von Lützow — po to tylko, aby po sześciu latach wziąwszy rozwód uszczęśliwić swą rączką na krótki czas pewnego porucznika pruskiego, którego nazwisko akty sądowe otaczają ścisłą dyskrecyą. Ale i porucznik nie miał do niej szczęścia i pani Leontyna została żoną Leona Meurina, właściciela dóbr ziemskich w Anglii. W trzy lata uciekła od niego i rozpoczęła proces rozwodowy.

Wówczas bawiąc w Mürzzuszlagu dla poratowania zdrowia poznała młodego, bogatego i cieszącego się sympatyą ogółu starostę v. Harvaya.

Harvay zakochał się w niej, oświadczył, został przyjęty i ślub odbył się w sierpniu tego samego



Z wystawy w St. Louis: Gmach administracyi państwowej Stanów Zjednoczonych.



Z zamierzchłej przeszłości Brodów. Fot. Buxdorf, Brody.
Część zachodnia kazamat zamku brodzkiego.

roku, w którym dopiero aż w listopadzie zapadł wyrok w jej sprawie z Meurinem.

Bigamia była jawna!

O demonie-kobiecie krążyły na ten temat plotki, mówiono różnie o jej przeszłości, a plotki te spowodowały, że sąd zaczął się interesować jej osobą.

Wówczas to Hervay, który kochał ją szalenie, nie mogąc przeżyć skandalu ani utraty ukochanej, kulą rewolwerową przeciął pasmo swego żywota.

Demon kobieta otrzymała karę, ale chyba za niską, bo ją można uważać za moralną autorkę śmierci Hervaya.

Ona była tym jego złym duchem!...

Z zamierzchłej przeszłości Brodów.

Polska była dla zachodu Europy ważnym posterunkiem cywilizacyjnym, któremu oddana była obrona wschodnich kresów przed najazdem dzikiego azyaty. Broniąc siebie, broniła Polska zarazem cały ówczesny świat cywilizowany, broniła całości umysłowego i kulturnego dorobku wieków i strzegła skarbów duchowych świata. „Bramą narodów“ były właśnie owe wschodnie kresy.

Tędy, szlakami wydeptanymi kopytami tatarskich koni, znaczonymi krwawymi śladami jeńców, pędzonych z arkanem na szyi — wpadały dzikie hordy najeźdźców po przymusowy swój haracz krwi.

Z owych czasów pochodzą liczne obronne zamki i twierdze, stanowiące zaporę, o które niejednokrotnie rozbijały się zapędy wschodnich barbarzyńców.

Obronne te gniazda, sporadycznie wzdłuż wschodnich granic państwa porozmieszczane, były ogniskami ześrodkowującymi w sobie rycerskie i społeczne życie. Sąsiadujące ze sobą, były połączone zazwyczaj podziemnemi korytarzami i przejściami, które znakomicie ułatwiały komunikacyę załóg ze sobą i w wypadkach wzięcia ich szturmem przez wroga dawały możność ucieczki.

Jeden z owych szlaków najeźdźców prowadził przez Wołyń i Ruś przez błotnistą okolicę, ciągnącą się na szerokość mil całych. Ta właściwość terenu nadała nazwę miejscowości „Brody“ i odległym od nich o 21 kilometrów „Zabłotcom“.

Zamek ten wybudował na szlaku owym — dzisiejszym „Ostrowczyku“ — wojewoda bełzki Stanisław Żółkiewski.

Dobra te: Olesko i Brody posiadał pierwotnie Siennicki (1441), a to tytułem królewskiej darowizny za ważne usługi świadczone Rzeczypospolitej. Od jego wnuka właśnie nabył te posiadłości w r. 1580 Żółkiewski, a uznając niezmierną strategiczną doniosłość tego posterunku, wyjednał dla niego rozległe przywileje i ulgi i nadał od swojego „klejnotu“ nazwę „Lubicz“.

Zamek wraz z posiadłością przeszedł już za wnuka Żółkiewskiego w posiadanie Koniecpolskiego, który ufortyfikował ją zupełnie na wzór lotaryńskiej twierdzy „Stenay“.



Kobieta-demon: Leontyna von Hervay skazana za bigamię na cztery miesiące więzienia.



Z zamierzchłej przeszłości Brodów: Fot. Buxdorf, Brody.
Zamek w Brodach obecnie własność hr. z Młodeckich Gorayskiej.

Tu napotkał poważny opór Bohdan Chmielnicki, który, nie zdobywszy miasta, ruszył po spaleniu takowego pod Lwów. Miejscowość ta upamiętnioną została poza tem krótką bytnością króla Jana Kazimierza, który po bitwie pod Beresteczkiem odpoczywał w tych murach. Tu również ranny po bitwie pod Stawiszczami. Czarnecki zatrzymał się w r. 1665 w lutym, a po krótkim postoju udał się potem do sąsiedniej Sokołówki, gdzie dokonał bohaterskiego żywota.

Właściciel tych posiadłości Koniecpolski, który bezpotomnie zeszedł ze świata, zapisał je w testamencie królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu. Wielki jego rodzic Jan III. przebywał tu również w r. 1690. Od śmierci króla Sobieskiego rozpoczynają się czarne karty w dziejach Brodów. Pozbawiony należytej obrony, był kolejno łupem hord tatarskich i tureckich, i dopiero z objęciem grodu przez Potockiego, wojewodę kijowskiego, nastały dla zamku tego lepsze czasy.

Po rozbiorze Ojczyzny przyszły krytyczne dni i dla zamku. Powieściopisarz Józef Korzeniowski, urodzony Brodczanin, był świadkiem bombardowania tych murów w r. 1812 przez austryackie armaty.

Dziś należy odbudowany zamek do hr. Gorayskiej z Młodeckich. Czcigodna ta pani nie szczędzi



Burmistrz m. Czerniowiec. Antoni baron Kochanowski.
Fot. Krzanowski, Czerniowce.

starań ani kosztów, by resztki historycznych tych zabytków od ostatecznej zguby ochronić. Dzięki jej pieczołowitości reszta baszt i kazamatów ocalała, jak niemniej wspaniały niegdyś podwórzec zamkowy, zamieniony obecnie na piękny ogród.

Nasza rycina przedstawia zachodnią, zupełnie dobrze zakonserwowaną część kazamatów, tudzież zamek, którego front zdobi pięknie wykonany herb obecnej właścicielki.

Straszny dramat.

Straszny dramat rozegrał się ostatnimi dniami w Gostyninie podczas mobilizacyi rezerwistów, powołanych w szeregi tych pułków, które mają niebawem wyruszyć na daleki Wschód i utworzyć tam drugą armię mandżurską pod komendą jenerała Grippenberga.

Podpułkownik Ludwik Dzwonkowski, człowiek ogólnie lubiany i szanowany tak dla swej dobroci, jak dla niezwykłej czystości i prawości charakteru, który od dwudziestu lat piastował urząd naczelnika wojskowego w powiecie gostyńskim, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, a przyczyna, która skłoniła go do tak rozpaczliwego kroku, stoi w ścisłym związku z mobilizacyą, podjętą w okręgu powierzonym jego opiece.

Zaraz w pierwszym dniu mobilizacyi około dwudziestu młodych włościan, którzy nazajutrz mieli być odesłani do pułków, zgłosiło się do podpułkownika Dzwonkowskiego z prośbą, aby pozwolił im powrócić jeszcze pod rodzinne strzechy celem uregulowania interesów. Podpułkownik, człowiek nader uczynny, znając osobiście wszystkich proszących, nie czynił im żadnych trudności i odrazu zgodził się na ich prośbę, ale jedynie pod tym warunkiem, że nazajutrz już o godzinie piątej rano zgłoszą się z powrotem do urzędu wojskowego.

Włościanie przyrzekli, że uczynią zadość wymaganiu podpułkownika i udali się do chat rodzinnych, ale nazajutrz o oznaczonej porze żaden z nich nie zjawił się na placu zbornym.

Podpułkownik Dzwonkowski zaniepokoił się tem ogromnie.

— „Uciekli!“ — To była pierwsza myśl, która przemknęła przez jego głowę, a w ślad za nią nawinęła się druga: myśl o odpowiedzialności jego wobec władz za to, że, mając już tych ludzi w szeregach, sam poniekąd ułatwił im ucieczkę. Podpułkownik nie bał się ani tej odpowiedzialności, ani ewentualnej kary, ale nie mógł znieść przypuszczenia, że po tylu latach wzorowej służby może spotkać go zarzut, iż zaniedbał swe obowiązki i zawiódł położone w nim zaufanie.

Rozgorączkowany, zdenerwowany temi myślami podpułkownik z niecierpliwością czekał jeszcze godzinę, ale gdy do szóstej godziny żaden z urlopowanych nie zgłosił się w komendzie, napisał do przełożonych władz raport o tym wypadku i wysławszy go, udał się do swojego pomieszkania, gdzie celnym wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie.

A w chwili, gdy podpułkownik Dzwonkowski zaglądnął śmierci w oczy, na plac zborny nadeszli wszyscy urlopowani. Żadnego z nich nie zabrakło, a wszyscy spóźnili się tylko, bo pożegnanie z rodzinami przeciągnęło się zbyt długo.

I w tem leży właśnie kulminacyjny punkt dramatu, którego ofiarą padł podpułkownik Dzwonkowski...

Burmistrz miasta Czerniowiec.

Sędziwy prezydent miasta Czerniowiec Antoni br. Kochanowski uwiecznił swe imię jako prawdziwy ojciec miasta. Dwa nazwiska burmistrzów z ery konstytucyjnej złączą się na wieki z dziejami stolicy Bukowiny: Petrowicza, który miasto zbudował i Kochanowskiego, który je uczynił europejskiem... Kanalizacya, wodociągi, oświetlenie elektryczne i elektryczny tramwaj, wszystko to przedewszystkiem zawdzięczyć należy zabiegom i pracy sędziwego prezydenta Kochanowskiego. Niewielu z pewnością burmistrzów wielkich miast europejskich mogłoby się poszczycić takimi wynikami swego urzędowania, ale bo też niewielu chyba tak poświęca się pracy obywatelskiej, jak to czyni p. Kochanowski, który na każdym kroku i w każdej sprawie zna tylko jedną dewizę: nic dla siebie — wszystko dla współobywateli.

Z zadowoleniem i dumą każdy obywatel tego miasta przekaże swym następcom cześć i wdzięczną pamięć dla tego czcigodnego rodaka.

P. Antoni bar. Kochanowski wybrany został do Rady miejskiej w 1864 i od tego czasu nieprzerwanie należy do reprezentacyi autonomicznej m. Czerniowiec. Godność burmistrza piastuje od r. 1886. W r. 1868 wybrany został posłem sejmowym, a w latach 1872—1774 był zastępcą marszałka krajowego. W r. 1874 zamianowany został marszałkiem kraju i godność tę piastował do r. 1884, zatem przez lat 10. W r. 1871 zaszczycony został wyborem do Rady państwa i dzierżył mandat stolicy do r. 1895.

Za zasługi położone na rozlicznych dziedzinach swej działalności obywatelskiej, doczekał się p. Kochanowski kilkakrotnie zaszczytnego odznaczenia ze strony Najjaśn. Pana. W r. 1872 otrzymał order żelaznej korony III. klasy, a w r. 1875 krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa, zaś w r. 1884 order żelaznej korony II. klasy. Jest także w posiadaniu zaszczytnych odznaczeń, nadanych mu przez obcych suwerenów. I tak posiada krzyż papieskiego orderu św. Grzegorza z gwiazdą, order



Z wojny ros.-jap.: Szeregowiec z pułków pieszych drugiej armii mandżurskiej pod komendą jenerała Grippenberga.

rosyjski św. Anny II. klasy i order rumuńskiej korony II. klasy.

W r. 1894 z okazyi jubileuszu 50-letnich rządów Najj. Pana wyniesiony został sędziwy prezydent do godności barona.

Czcigodny mąż ten, od długiego lat szeregu zaszczycany mandatami i dostojeństwami, dowiódł zawsze jak najgorliwszej pracy, mającej zawsze na celu dobro m. Czerniowiec. To też zasługi rodaka naszego p. Antoniego br. Kochanowskiego są tu powszechnie znane i uznane. Każdy spogląda z dumą na tę sędziwą postać, która niezmordowaną swą pracą dla dobra współobywateli wywalczyła imieniu polskiemu na tych dalekich kresach powagę i poszanowanie powszechne, a w dziejach ekonomicznego rozwoju miasta zapisała się złotemi głoskami na wieki. *St.*



Podpułkownik Ludwik Dzwonkowski odbiera sobie życie, widząc, że do szóstej godziny urlopowani nie wrócili.

Urlopowani wszyscy do jednego zjawiają się w kilka minut po szóstej na placu zbornym.

Straszny dramat.



Nowi ministrowie: Prof. dr. Antoni Randa, minister-rodak dla Czech

Drapacze nieba.

Każde miasto — podobnie jak człowiek — ma w swej fizyonomii pewne indywidualne rysy — pewne cechy, odróżniające je od innych.

Do takich charakterystycznych cech należy np. wieża św. Szczepana w Wiedniu, Arc de Thriumphe w Paryżu, Kolumna Zygmuntowska w Warszawie lub Kopiec Kościuszki w Krakowie.

Nowy York ma również swoją osobliwość — a jest nią cały szereg olbrzymich, tytanicznych budowli, strzelających dachami swemi — niemal pod chmury.

Są to z wielkim komfortem i przepychem budowane domy mieszkalne, których parter i niższe kondygnacye zajmują sklepy — reszta piąter przeznaczoną zaś jest na mieszkania.

Właściwością tych budowli są niezwykłe, kolosalne ich rozmiary, zwłaszcza wysokość. Dość po wiedzieć, że olbrzymy te liczą po 30 i więcej piąter, i otrzymały nawet specyalną swą nazwę „drapaczy nieba".

„Drapacze nieba" widoczne są z każdego punktu, zarówno z lądu jak morza, imponują zaś zwłaszcza w nocy, gdy oświetlone od góry do dołu, nieskończoną ilością okien, niby tysiącznemi błyszczącemi oczami, mrugają zdala do zdumionego przybysza.

„Drapacze nieba" są położone przeważnie w handlowej dzielnicy Nowego Yorku i nadają całemu miastu niezwykły, charakterystyczny wygląd.

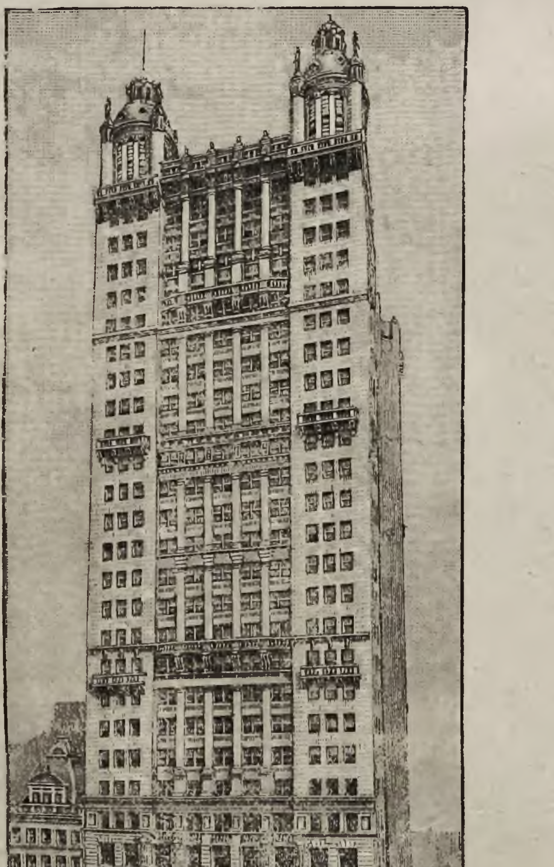
Najsłynniejszym dotychczas „drapaczem nieba" był dom liczący nie mniej jak 25 piąter, a prócz tego jeszcze 2 wieże, z których każda mierzy jeszcze 2 piątra.

Budowę tę nazywają „Park-Rew-Building". Ponieważ stoi w ulicy bardzo wązkiej a ogromem swoim przewyższa wszystko dotychczas — dla tego też niemałą trudność stanowi zdjęcie fotograficzne tego olbrzyma.

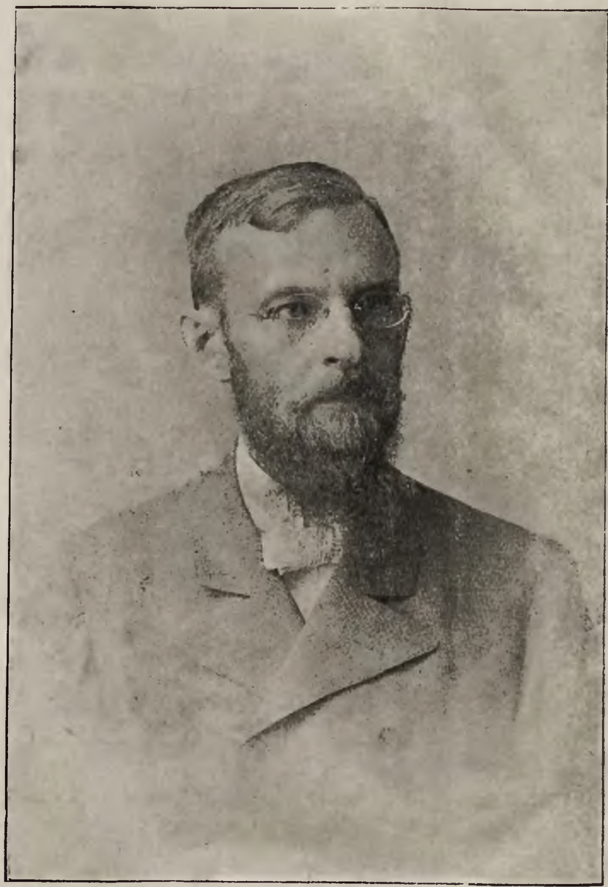
Rycina nasza przedstawia jedno z najudatniejszych zdjęć, jakie w ostatnich czasach dokonano.

Obecnie przybył mu groźny konkurent — a jest nim budowla zwana „Brzytwą" dla osobliwszego kształtu swego. Budowa olbrzyma nie jest jeszcze skończona i doprowadzono ją „dopiero" do 17 piątra. Cała projektowana wysokość „Brzytwy" nie jest jeszcze dokładnie znaną — przewyższy ona jednak wszystkich dotychczasowych „drapaczy nieba". O jego rozmiarach może dać jakie takie wyobrażenie parę szczegółów, które przytaczamy z kosztorysów i planów architekty.

„Brzytwa" posiada 4 fronty zwrócone w najwięcej ożywione ulice. Jeden z tych frontów dotyka handlowej arteryi — drugi, przeciwległy, ulicy milionerów. Pierwsze 3 piątra wykonane są z piaskowca, dalsze zaś z palonej cegły. Grunt, na którym dom stoi, kosztuje $3^1/_2$ miliona dolarów ($17^1/_2$ miliona koron). Budowla będzie posiadać 15—20 wind.



Drapacze nieba: Najpopularniejszy budynek New-Yorku, zwany Park-Row-Building.



Nowi ministrowie: Dr. Manswed Kosel nowy minister skarbu.



Nowi ministrowie: Ferdynand hr. Buquoy, min. rolnictwa.

Nowi ministrowie.

Pisaliśmy już o zmianach, jakie zaszły w austryackim gabinecie i parę słów wspomnienia poświęciliśmy ustępującym ministrom, z kolei więc musimy teraz zapoznać naszych czytelników z nowymi kierownikami ministerstw.

Pierwszy z nich, ten, któremu powierzono tekę ministerstwa skarbu, osobisty przyjaciel i kolega z Theresianum naczelnego swego dowódzcy dra Koerbera, Manswed Kosel liczy obecnie krągłą pięćdziesiątkę i do obecnej godności doszedł po szczeblach czysto urzędniczej karyery.

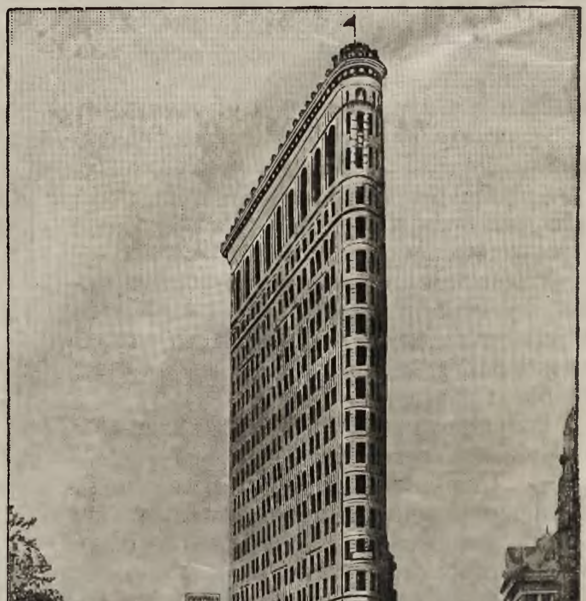
Rdzenny Niemiec-nacyonalista, urodzony jednak w Galicyi, gdzie jego ojciec był starostą, nie żywi zbyt ciepłych uczuć dla tej ziemi, na której po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, lecz dziwić się temu nie można, bo dr. Kosel w dziecięcym wieku na Galicyę spoglądał przez te okulary, jakiemi patrzył jego ojciec, a okulary te dziwnie wskazywały w owych czasach stosunki naszego kraju, tworząc z dwóch słów: „Polaka" i „rewolucyonisty" synonim. A potem nie miał już dr. Kosel czasu przypatrywać się swej przypadkowej ojczyźnie. Oddano go do Theresianum, potem musiał studyować prawo na uniwersytecie wiedeńskim, potem aplikować i praktykować, baczyć, aby jak najprędzej wyjść z szeregu bezpłatnych pionków rządowych — więc nie miał czasu myśleć o zapoznaniu się z Galicyą.

W obecnej chwili, gdy dr. Koerber ofiarował mu tekę ministeryalną, Kosel zajmował stanowisko dyrektora pocztowych kas oszczędności, i jako taki uchodził za jednego z bardzo zdolnych finansistów. Z tego powodu, choć sprawy nie należy z góry przesądzać, można jednak mieć nadzieję, że skarb państwowy znajdzie w nim dobrego opiekuna.

Minister rolnictwa, Ferdynand hrabia Buquoy urodzony we Wiedniu, brał żywy udział w polityce jako członek niemiecko-zachowawczej partyi większych posiadaczy i od roku 1887 do roku 1891 piastował godność posła do parlamentu.

Podczas wyborów do Rady państwa w r. 1895 postawił znów swoją kandydaturę, ale z urny wyborczej wyszedł wtedy jego kontrkandydat ze stronnictwa niemieckich postępowców.

Hrabia Buquoy przez długi czas był także członkiem rady dla kultury krajowej w Czechach



Drapacze nieba: Najnowszy budynek konkurencyjny, zwany „Brzytwą".

i na tem stanowisku zyskał sobie ogólne uznanie swą gorliwą pracą.

Trzeci nowy minister dr. Antoni Randa, który tekę ministerstwa dla Czech, objął jedynie na wyraźne życzenie cesarza Franciszka Józefa I., profesor prawa cywilnego na uniwersytecie czeskim w Pradze, uchodzi za najwybitniejszego prawnika i jest autorem wielu nader cennych dzieł jurystycznych. Dr. Randa, należy do stronnictwa staroczeskiego, ale do tej chwili polityką zajmował się bardzo mało, a cały swój czas poświęcał nauce, za co też zdobył sobie godność członka pragskiej i krakowskiej Akademii Umiejętności, a przez monarchę w dowód uznania zasług został powołany do Izby panów.

Czesi nominacyę dra Randy na ministra-rodaka powitali z wielką radością i nic dziwnego! Stary uczony (dr. Randa liczy z górą siedmdziesiąt wiosen), niezmordowaną swą pracą zapewnił sobie ogólny szacunek i miłość narodu, którego imię opromienił sławą własną...

To są nowi ministrowie austryaccy.

Spoliczkowanie ministra.

Zamęt, jaki panuje obecnie we Francyi wśród jej polityki wewnętrznej, walka toczona przez tameczny świat katolicki z masoneryą, wywołana prześladowaniem Kościoła i klasztorów, nie mniejsze są chyba jak wrzenie na tle narodowościowem w Austryi. Jak w naszych sejmach, tak i w parlamencie francuskim przychodzi wciąż do bitek i awantur różnego rodzaju, a kulminacyjnym punktem tych scysyj było spoliczkowanie ministra wojny Andre'ego przez deputowanego Syvetona na jednem z ostatnich posiedzeń Izby deputowanych.



Spoliczkowanie ministra: Komendant Bernard. Kapitan Mollin.

Syvetona za ten napad na ministra wojny czeka według francuskiej ustawy karnej „nagroda“ w postaci od dwóch do pięciu lat więzienia. Fakt jednak pozostał faktem i minister André został bajecznie skompromitowany. Lecz nietyle skompromitowały gabinet te policzki, jakiemi zawzięty deputowany uraczył ministra wojny, ile interpelacya deputowanego Guyote'a de Villeneuve'a, która poprzedziła i wywołała to zajście.

Otóż deputowany de Villeneuve odczytał w parlamencie całą kolekcyę listów jawnie dowodzących, że ministerstwo wojny w rozdzielaniu stopni i awansów w armii francuskiej polegało na informacyach udzielanych mu przez sekretaryat „Wielkiego Wschodu“, organizacyi masońskiej. Interpelant zarzucił ministrowi, że pod pozorem wzmocnienia ducha republikańskiego w armii, zaprowadzono w niej system szpiegowski i hańbiące rzecz pospolita stronnicze rozdzielanie stopni i zaszczytnych odznaczeń. Prym w tych denuncyacyach dzierżył oficer ordynansowy ministra kapitan Mollin i komendant Bernard.

Interpelacya ta wywołała w Izbie deputowanych ogromne wrażenie, którego nie zatarło oświadczenie ministra, że stronnictwo katolickie pierwsze wprowadziło w armii tak ohydny system, a siła tego wrażenia ujawniła się spoliczkowaniem André'ego. Francya na punkcie moralności coraz niżej upada!...



Spoliczkowanie mintstra: Francuski minister wojny-Andrè.

Strzały szaleńca.

Wszyscy chyba znają i pamiętają tragiczną historyę, jaka się rozegrała w Warszawie, gdzie hr. Dąbski w napadzie szału, uzbrojony w dubeltówki i rewolwery zaczął strzelać z okien swego pomieszkania do przechodzącej ulicą publiczności i zrosił krwią najniewinniejszych przechodniów bruki, zanim ostatecznie policya zdołała szturmem zdobyć pomieszkanie szaleńca i rozbroiwszy go, oddać do zakładu obłąkanych w Tworkach.

Podobna scena, choć dzięki Bogu nie zakończona na szczęście przelewem krwi, zaszła dnia 6-go listopada we Lwowie w hotelu warszawskim.

I tu młody pełen nadziei człowiek, porwany nagle w szpony szału, dobył rewolweru i skierowawszy go w piersi niewinnych ludzi, którzy chcieli przyjść mu z pomocą, począł strzelać, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni.

We Lwowie bawił już od miesiąca młody artysta-muzyk z Lublina Michał Pajdowski, liczący około trzydziestu pięciu lat. W pierwszych dniach listopada wynajął on sobie mały pokoik w hotelu Warszawskim i zrazu zachowywał się tak spokojnie, że nikt nawet nie podejrzywał, aby umysł jego trapiła ciężka choroba.

Krytycznego dnia wczesnym rankiem służący hotelowy Michał Andybur usłyszawszy ciche jęki w pokoju Pajdowskego, wszedł do środka, a zobaczywszy, że lokator rozgorączkowany na pół w malignie spoczywa w swem łóżku, położył mu na głowę zimny okład i wysłuchawszy jego majaczeń, w których skarżył się, że całą noc trapili go szatani, oddalił się do swej codziennej pracy.

W dwie godziny później chory podniósł się z łóżka, ubrał i wyszedł na miasto, skąd powrócił po godzinie, ale z rewolwerem w ręku. Andybur ujrzawszy rewolwer w obawie, aby chory gość w gorączce nie odebrał sobie życia, wezwał resztę służby i udał się do pokoju Pajdowskiego, chcąc go uspokoić i ułożyć do łóżka.

Zaledwie jednak członkowie tej wyprawy przestąpili próg pokoju, Pajdowski skierował ku nim rewolwer i zaczął strzelać. Przerażona służba uciekła czemprędzej i o wypadku tym dała znać policyi.

Na miejsce katastrofy przybył natychmiast koncepista Chmielarski w asystencyi ajentów. Nikt jednak nie chciał narażać się na strzały szaleńca więc chwycono się podstępu. Poprostu urządzono zasadzkę, i gdy Pajdowski nie przeczuwając niczego wyszedł z pokoju, ukryci tuż przy ścianie ajenci rzucili się nań i powaliwszy na podłogę mimo szalonego oporu zdołali go rozbroić i związanego odstawili do szpitala, skąd, po skonstatowaniu przez lekarzy, że biedny muzyk jest w stanie ostrego szału, przewieziono go do zakładu umysłowo-chorych w Kulparkowie.

I znów jeden żywy człowiek, nieszczęsna ofiara losu został żywcem zamurowany w grobie...



Strzały szaleńca: Michał Pajdowski w napadzie szału strzela do służby hotelowej.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

7 (Ciąg dalszy).

— A teraz dziękujmy Bogu za łaskę — zawołała Hania — i układajmy plany. Ja chcę być pierwszą w posłudze, użyjcie mnie tam, gdzie największe będzie groziło niebezpieczeństwo.

— Dziecię moje — rzekła uspokojona nieco baronowa, jeżeli Bóg dozwoli, że Ryszard wydobędzie się z więzienia, musisz z nim razem uciekać, aby nie był samotny. Dlatego przygotuję wszystko zawczasu tak, byście mogli wziąć ślub tajemnie. Nasz pleban nie odmówi nam tej łaski, jestem tego pewną i połączy was węzłem małżeńskim, dlatego staraj się widzieć z ojcem, aby ci użyczył błogosławieństwa.

Dawni znajomi.

Tymczasem w opustoszałym domu w lesie, gdzie zamordowano Izabellę, siedziała w parterowej izbie Czerwona Maryna, ze synem swoim Ludwikiem. Był to chłopak dwudziestokilkoletni, rosły barczysty, o twarzy brzydkiej, wstrętnej, ponurej. Rude włosy; małe, zezowate oczy jeszcze bardziej go szpeciły. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to istota znikczemniała, zezwierzęcona, że to zbrodniarz zatwardziały.

Ubranie miał podarte, zmięte brudne. Siedział w czapce na głowie, wyciągnął nogi przed siebie, ręce trzymał w kieszeniach i pogwizdywał aryjkę z jakiejś plugawej, szynkownej piosenki.

Czerwona Maryna siedziała na przeciwnym krańcu stołu i spoglądała na syna bojaźliwie.

— Po coś ty tu wrócił, Ludwik? — szeptała — po co? Jeżeli cię tu gdzie spostrzegą, zwróci się podejrzenie na ciebie.

Ludwik przestał gwizdać i, zamiast odpowiedzieć, zamruczał coś niezrozumiale.

— Bo i czego ty tu chcesz? — mówiła Czerwona Maryna drżącym głosem. — Czy nie boisz się jej ducha?

— A czy ja taki głupi, żebym w duchy wierzył? co też matka pleciesz? Ot, lepiej daj mi pieniędzy!

— A skądże ja ci wezmę? przecież zabrałeś wszystko ze szkatuły, a co tam jeszcze gdzie było, to zabrała komisya. Odejdź, Ludwiku, odejdź, Mnie się wciąż zdaje, że jej dusza włóczy się po całym domu dlatego, żeś ty tu przyszedł. Czy nie słyszysz, jak tam na górze coś chodzi?

I blada, drżąca, nadsłuchiwała Czerwona Maryna, a twarz jej wykrzywiła się śmiertelnym strachem. Ludwik uśmiechnął się szyderczo.

— E, e, e, co też matka bajesz. A czy to ludzie po śmierci chodzą?

— Oj, synu! synu! pocóżeś ty ją zamordował? Zaledwie cię wypuścili z więzienia, znowuś głupstwo zrobił, a jeżeli się to wyda...

— Ej, coby się tam wydać miało — odpowiedział Ludwik i rozśmiał się bezwstydnie. — A toć przecie chwycili barona i trzymają. Ej, to mi się sztuka udała. Kiedy on tam gruchał z tą wiedźmą, to ja mu wyciągnąłem sztylet z płaszcza, no i wziąłem jego, a ja sobie gwizdam. Czegóż się matka boisz? Mnie nie złapią, a że tam jednej baby mniej na świecie, to i co to komu szkodzi. Zresztą ja tam na sumieniu nic nie mam; sama sobie winna. Prosiłem grzecznie, żeby mi dała pieniędzy, ona nie chciała, no, to też drasnąłem ją sztyletem w serce. Czemuż nie chciała dać pieniędzy? byłaby sobie jeszcze żyła.

W tem usłyszano, że ktoś nadchodzi.

— Ej, matka, czy drzwi od ogrodu nie zamknięte? — zapytał Ludwik niespokojnie i podniósł się z siedzenia. Wyglądał w tej chwili jak dziki zwierz, co się czai, aby skoczyć na łup, albo uciec do nory.

Czerwona Maryna wyjrzała przez okno, a zwróciwszy się do Ludwika, szeptała błagalnie:

— Idź, idź synku, schowaj się. Idzie tu jej córka, Sterneggowa.

Na te słowa wyprostował się Ludwik, przeciągnął się ziewając i rzekł z szyderczym uśmiechem:

— Ho, ho, wielka pani. Skoro to ona idzie, to ja tu sobie zostanę.

— Co też ty wyrabiasz chłopcze? Chcesz zgubić i mnie i siebie? Wynoście się, bo chwycę za garnek i łeb ci rozbiję.

To rzekłszy wypchnęła syna do bocznej izby. Za chwilę weszła Klara, pełna dumy i wyniosłości. Czerwona Maryna przywitała ją uniżonym ukłonem.

— Chciałam zobaczyć dom — rzekła Klara rozkazującym tonem — a szczególniej te pokoje, w których moja ciotka mieszkała.

— Całe pierwsze piętro opieczętowała komisya sądowa.

Klara wpatrywała się bystro w Czerwoną Marynę i spostrzegła na jej twarzy wielkie zaniepokojenie. To utwierdziło w niej powzięte podejrzenie, że Czerwona Maryna jest sprawczynią zbrodni. Przystąpiła śmiało i energicznie do niej i zapytała ostro:

— Gdzie się podziały pieniądze mojej ciotki?

— Pieniądze?... pieniądze?... a toć zapewne zabrał je baron...

— Nie kłam! baron nie zamordował ciotki i nie zrabował pieniędzy. Ale ty wiesz dobrze, kto to uczynił.

— Ja?... ja?... — szeptała Czerwona Maryna.

— Tyś ją zamordowała!

W tej chwili rozległ się za drzwiami głośny śmiech szyderczy, a zanim Klara opamiętać się mogła, drzwi się otwarły i stanął przed nią Ludwik.

— Uniżony sługa wielmożnej pani leśniczynej dobrodziejki. Jakże się też cieszę, że panią znowu widzę!

Klara przeraziła się widokiem zuchwałego obdartusa, lecz, wysilając się na energię, zwróciła się do Czerwonej Maryny i zapytała tonem gromiącym:

— Co to za włóczęga? jak śmiesz w tym domu przyjmować takich ludzi?

— Ależ to mój syn, Ludwik, proszę wielmożnej pani.

— Jakto, ten obdartus twoim synem?

Ludwik włożył ręce w kieszenie, zbliżył się do Klary, spojrzał na nią z szyderstwem i rzekł drwiąco:

— Primadonna teatru nie chce poznać swojego kolegi. A przecież przed pięciu laty byliśmy razem w teatrze nadwornym.

— Zuchwalcze jakiś!...

— Ej, ej, nie tak ostro...

— Nikczemniku! Teraz już wiem kto moją ciotkę zamordował i zabrał jej pieniądze. W tej chwili zawołam służbę i każę cię uwięzić.

— Zlituj się wielmożna pani! — zawołała Czerwona Maryna i rzuciła się Klarze do kolan. — A ty Ludwiku uciekaj, uciekaj syneczku, ratuj się jak możesz.

— Ej, ktoby tam uciekał! Za pozwoleniem łaskawa pani! Zanim primadonna każesz mnie uwięzić, posłuchaj co ci powiem. Jeżeli nie będziesz trzymała języka za zębami, to opowiem ciekawą historyjkę o baletniczce Elwirze i wtedy pójdę do więzienia, ale i ty ze mną, koleżanko.

— Łotrze! kłamiesz bezczelnie!

— Ej, nie tak bardzo, jak ci się zdaje, koleżanko. Dzisiaj masz księcia, a wtedy miałaś tylko hrabiego. Ale ten hrabia spoglądał łakomie na baletniczkę Elwirę, a ciebie pożerała zazdrość. Otóż raz tak było, że hrabia przyniósł jej za kulisy wspaniały bukiet, no i... Elwira dała mu zato... buzi. Zobaczyłaś to czcigodna primadonno i wściekłaś się ze zazdrości. Skoro tylko hrabia wyszedł, poszłaś na pauzie między aktami do garderoby baletniczki, wyrwałaś jej bukiet hrabiego i biłaś tym bukietem baletniczkę po twarzy. Ona się zasłaniała rękoma, broniła, a potem zaczęła przed tobą uciekać. Ty za nią i dopadłaś ją w miejscu, gdzie był otwór w scenie, przygotowany dla duchów do następnego aktu. Obejrzałaś się dokoła, zdawało ci się, że nie było nikogo, więc strąciłaś Elwirę w przepaść, a ona tam, głęboko pod sceną, rozbiła sobie głowę na zębach od windy. Ja byłem za kulisą i widziałem to. Jeżeli nie będziesz trzymała języka za zębami, to ja to powiem twojemu księciu.

Klara stała bezwładna, drżąca, przerażona; spoglądała na włóczęgę osłupiałym wzrokiem, a on uśmiechał się szyderczo i pewien swego zawołał:

— A teraz idź moja pani i każ mnie uwięzić.

Rozpacz ogarnęła Klarę. Wobec tego wstrętnego człowieka była zupełnie bezbronną; mógł ją zgubić. Z największem wysileniem panowała nad sobą, żeby nie okazać lęku. Wstręt, przerażenie i rozpacz starała się pokryć wyniosłą obojętnością i, nic nie odpowiadając na zuchwałe słowa Ludwika, zwróciła się ku drzwiom.

— O, za pozwoleniem łaskawa pani; tak się przecież nie rozstaniemy. Z kochaną koleżanką chciałbym się pogodzić. Bo to widzisz primadonno, my oboje możemy sobie podać ręce i żyć w przyjaźni.

— Dość już tego szaleństwa!

— Ej, ej, po co to te gniewy? Szkoda czasu na takie ceregiele. Moja pani kochana, ja ci wprost powiem, że nie wyjdziesz stąd, dopóki się nie ułożymy. A układ bardzo prosty. Oto ja nie powiem nikomu o tej przygodzie baletniczki, a ty koleżanko podarujesz ten dom mojej matce z całem urządzeniem. Uczynisz to u notaryusza, porządnie, jak należy, a powiesz, że to czynisz przez wdzięczność dla mojej matki za to, że była długoletnią, wierną, przywiązaną sługą twej ciotki.

Klara, nie odpowiadając, chciała wyjść.

— Ej, jakażeś to niecierpliwa primadonno. Jeszcze nie koniec. Oto za pół roku musisz sprzedać dobra Adlersfeld, które ci po ciotce przypadły, i mnie wypłacić gotówką połowę tych pieniędzy, które za nie weźmiesz. Tak, to ostatnie moje słowo. Pozwalam ci się namyślić do jutra. Jutro mi dasz odpowiedź przez twoją pokojówkę, a moją siostrę, Rózię. A teraz nie zatrzymuję.

Klara wyszła na pół nieprzytomna z oburzenia i lęku, ale panowała nad sobą do ostatniej chwili.

W więziennej celi.

— Panie sędzio — mówił Sternegg stanowczo i spokojnie — powiedziałem prawdę, uczciwą prawdę, jak uczciwem było życie moje.

— Nie po to przyszedłem tu, byś mnie zbywał, panie Sternegg, pustymi frazesami — rzekł prokurator. — Umyślnie odwiedzam pana w celi więziennej, abyś pod wrażeniem tych krat, tych sklepień, tej grozy więziennej, wyznał mi szczerą prawdę. Książę pan niezawodnie ułaskawi cię, mój panie Sternegg, ale sąd musi wiedzieć prawdę.

— Już ją zeznałem w śledztwie, już ją powtórzyłem tyle razy i nic innego wyznać nie mogę.

— A więc obstajesz pan przy tem, uparty człowieku, żeś nie miał zamiaru godzić na życie księcia?

— Tak; nie miałem zamiaru zabić księcia, miłościwie nam panującego.

— A więc kogóż zabić chciałeś?

— Uwodziciela mej żony.

— A tym był?

— Książę Ferdynand, następca tronu.

— Ależ to szalony, niegodziwy wymysł! Książę Ferdynand stanowczo temu przeczy; również żona pańska gotowa przysięgać, że to oszczerstwo. Takimi wymysłami znieważasz pan następcę tronu i zniesławiasz własną żonę.

— Boże! Boże! Co się dzieje? Podłością jest uwodzić cudzą żonę, a jeszcze większą być tchórzem nikczemnym. Niech tu stanie mi w oczy, plunę nań, powiem mu... podły, podły, podły! O tej ścierce już nie mówię, ścierka, suka...

— Milczeć! Za taką obrazę następcy tronu straciłbyś prawo do ułaskawienia.

— A niechże mnie i porąbią w kawały. Będę mówił, będę, bo mnie tu w gardle dławi. Dlatego, by się nie wydały przed światem miłostki następcy tronu, dlatego, żeby ludzie nie sarkali na zepsucie księcia i na krzywdę mi wyrządzoną, to może tu trzeba gnić w więzieniu, to ze mnie trzeba zrobić mordercę, zbrodniarza.

— A milczże nieszczęśliwy człowieku... Wszakże to szaleństwo, co pan wyrabiasz.

— A boć to przecież oszaleć można! Znajduję list gacha, czytam, wyraźnie napisany, schadzka umówiona...

— Wciąż prawisz o tym liście, a nikt go nigdzie nie znalazł, mimo, że najdokładniej przepatrzono każdy kąt mieszkania.

— A jednak był list, czytałem go, był, jak Bóg na niebie!

— A choćby i tak było, to przecież wpadłszy na miejsce mogłeś pan był zaraz dostrzedz, że nie następca tronu stoi przed tobą, jeno sam panujący książę.

— Ależ na Boga, panie prokuratorze, czyż ja miałem czas przypatrywać się? Nie zastaję w domu żony, dziecko umiera, wpada mi w ręce ów list przeklęty, wiec tracę zmysły, w głowie szumi, ciemno w oczach. O! kto nie miał w swem życiu takiej godziny, jak ja wtedy, ten nie zrozumie nic, nic, nic...

I łkanie głos mu zdławiło i charczał bólem i jękiem i włos targał z głowy.

Prokurator spojrzał litościwie, położył dłoń na jego ramieniu i rzekł łagodnie:

— Uspokój się, biedny człowieku. Sąd poleci pana książęcej łasce. Pozwolono też, aby córka cię odwiedziła.

— Moja córka! moje biedne dziecko! O, dziękuję, stokrotnie dziękuję.

Wyszedł urzędnik, spojrzawszy ze współczuciem na Sternegga, a za chwilę wpadła Hania.

— Tatusiu! ojczulku mój najdroższy! — zawołała Hania rzuciwszy się ojcu na szyję i zalała się łzami.

Dozorca więzienia zostawił drzwi od celi otworem, aby można było i widzieć i słyszeć, co tam robią i mówią, lecz usunął się, łzy otarł i usiadł

w kącie korytarza. Sternegg przyciskał córkę do serca; biło ono jak młotem. Umarł synek maleńki, przepadła dłań żona, zdeptana miłość mężowska; nad uczciwem nazwiskiem, nad życiem nieposzlakowanem, czystem, szlachetnem zawisła czarna chmura podejrzenia o królobójstwo. Żywot w nim rozsypywał się w gruzy; co zapracował, zmarniało. O, nie! została mu Hania, została córka cnotliwa, kochająca, wierny obraz pierwszej żony, niby wyrzut straszny, że poślubił inną na jej mogile, niby wspomnienie najmilszych chwil życia. I tuli dziewczę i główkę jej łzami oblewa.

— Dziecię moje, córuś moja, Haniu ukochana, co się z tobą stanie, gdzie się ty przytulisz? — łkał biedny ojciec.

— Nie lękaj się o mnie ojczulku, nie lękaj się nic a nic. Bóg nie opuści ani ciebie, ani mnie. Znajdą się dobrzy ludzie z woli Bożej, co nam pomogą.

— Może baronowa przyjęłaby cię tymczasem?

— Baronowa, równie jak my nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa. Bo ty nie wiesz, ojczulku mój najdroższy, że tam się dzieją straszne rzeczy. Ryszard w więzieniu!

— W więzieniu? Ryszard? Co? jak? Ryszard, młody baron? — krzyknął Sternegg.

— Tak, tak, uwięziony, posądzony o morderstwo i rabunek.

Hania opowiadała całą tę tragedyę, a Sternegg to bladł, to czerwieniał; pięści mu się zaciskały i podnosiły groźnie, to znowu bezwładnie opuszczał ręce i zwieszał głowę.

— Chyba już szatan zapanował na ziemi! — jęknął i bezsilny uderzył plecami o ścianę.

I dość długa minęła chwila, zanim go pieszczotami uspokoiła Hania.

— Widzisz ojczulku, jaka ona nieszczęśliwa. Wydarto jej i syna i mienie całe, a jednak nie traci wiary i ufa w sprawiedliwość Boską. A twoja córka, ojczulku, także ma dość siły do oparcia się niedoli i, gorzej niż niedoli, bezczelności ludzkiej.

— Bezczelności ludzkiej, powiadasz, bezczelności? Więc któż dopuścił się bezczelności ludzkiej względem ciebie?

— Chciał, ale wymierzyłam mu w pierś wylot strzelby i byłby padł trupem, gdyby się był odważył...

— Kto? mów — kto? Ubiję łotra!

— Ojczulku, spokojnie! Nic się nie stało złego i stać nie może. Twoja córka jest i będzie godną ciebie. Oto tak było, że pan marszałek dworu...

— Ten nikczemnik! obłudnik! przewrotny intrygant! wyuzdaniec!

— Tatusiu mój drogi, nie unoś się. Mogą usłyszeć, zabronić nam rozmowy i już mnie więcej do ciebie nie wpuścić.

Opowiadała ojcu wszystko, czego doznała od Wurma, a Sternegg zgrzytał zębami, to znowu z dumą i miłością spoglądał na Hanię i gładził sploty jej włosów. To płomieniem oczy mu świeciły, to zalewały się łzami rozrzewnienia.

Hania opowiedziała szeptem o planie ucieczki Ryszarda, o życzeniu baronowej, aby się pobrali i ukryli w obcych krajach, dopóki nie znajdzie się istotny morderca Izabelli. A Sternegg przycisnął jeszcze goręcej Hanię do serca i szepnął:

— Niech was Bóg błogosławi!

Dozorca więzienia zadzwonił kluczami, krząknął głośno raz i drugi, podniósł się z ławy i podszedł do drzwi celi.

— Już minęła godzina. Pożegnajcie się; muszę, muszę was rozdzielić.

Pochylił głowę zakłopotany, a Sternegg i Hania uklękli i wznieśli ręce do góry i rzewna modlitwa płynęła do Boga z tych dwóch serc czystych, pełnych miłości. A potem ojciec i córka pożegnali się niemym uściskiem, rozjaśnieni, uspokojeni, bo modlitwa rozwarła im niebo, więc zapomnieli o piekle ludzkich niegodziwości. Rzucili na siebie spojrzenia najtkliwsze i Hania wyszła. Sternegg ścigał ją oczyma, drzwi celi zamknął dozorca i kiwając głową szedł przez korytarz, samotny, jak te więzienia, których był strażnikiem.

* * *

Zaręczyny.

Księżniczka Elza załamywała ręce, to szarpała niecierpliwie rękawiczki, które już naciągać zaczęła. Gorączkowe ruchy księżniczki układały na niej białą, jedwabną, powłóczystą suknię w dziwne kształty. Twarz, zgnębiona cierpieniem, miała jakiś męczeński wyraz, jak u ludzi, co chcą walczyć i zwyciężać, a w zwycięstwo nie wierzą. Dławiła łzy, mocowała się z własną niemocą. Chciała być silną i zimną jak marmur, a czuła bezsilność i gorączkę uczuć i myśli.

Panna Warburg, należąca do orszaku księżniczki, raczej powiernica i przyjaciółka, niż służebna, wysilała się, by ją uspokoić.

— Ależ nie trzeba rozpaczać księżniczko! Zaręczyny to nie ślub. Wszystko się może potem zmienić. Uporem nie przełamiemy woli księżnej pani. Proszę cię, błagam, zaklinam: rozwesel się, uspokój! Tych zaręczyn uniknąć dziś nie można, niech się odbędą, a potem będziemy mieli dość czasu pomyśleć nad tem, aby się uwolnić od tego związku.



— Primadonna teatru nie chce poznać swojego kolegi!...

— Ale jakże kłamać? Jak przyjąć tego księcia, którego wprost nienawidzę?

— Trzeba się opanować księżniczko i ze spokojem spełnić życzenie księżnej pani. Miej to na myśli, że te zaręczyny są tylko czczą ceremonią, w której bierzesz udział, jakby w jakiem przedstawieniu amatorskiem.

— Ale co ten biedny Walter uczyni? posądzi mnie o fałsz; będzie myślał, że się go wyrzekłam.

— Powiesz mu sama księżniczko, że tak uczynić musiałaś, że należało uspokoić czujność dworu, że to dla jego dobra, aby go nie prześladowano. On jeszcze nie wyjechał, ukrywa się, aby cię raz jeszcze widzieć.

— Jest jeszcze? Boże! gdzież go zobaczę?

— Droga moja, kochana pani, tylko cicho, tylko spokojnie; nie zdradzaj się. Dziś go zobaczysz, za chwilę, zaraz po przyjęciu księcia. Będzie czekał w pawilonie rzeźb, dokąd teraz nikt nie zagląda. Tam zupełnie spokojnie i bezpiecznie.

Rozjaśniła się księżniczka, a chociaż łzy perliły się w oczach, uśmiech lekki zaigrał jej na ustach.

— Może to będzie ostatnie nasze pożegnanie! Bez niego żyć nie mogę i żyć nie będę, a z nim połączyć mi się nie dadzą, więc serce pęknie i życie zgaśnie i po nim nie zostanie nic, nic — tylko przestroga dla ludzi, by nie łamali serc i żywotów.

— I znowu smutek?

— Spokojna jestem, jak widzisz. Spokojna, jak lilia wiatrem złamana. Czemuż urodziłam się księżniczką? Gdybym zwykłą była dziewczyną, nie byłabym niewolnicą przesądu, etykiety, dynastycznych układów. Jak to świat fałszywie sądzi! Zdaje się ludziom, że kto na tronie zasiada, ma najwyższą władzę nad drugimi i najwyższą swobodę dla samego siebie. O! Boże! Boże! nie władza i nie wolność zasiada na tronie, ale najsroższa niewola.

— Ej, po co te ponure rozmyślania? Trzeba mieć twarz pogodną, bez śladu łez i cierpienia. Trzeba mieć twarz taką dla księżnej pani, dla księcia Ferdynanda i dla całego dworu. Niech się nikt nie domyśla niczego; kryć się trzeba ze słabością, zamknąć serce.

— Dziękuję ci moja droga. Masz słuszność, trzeba mieć twarz zimną i twardą, by się na niej nie wypisało nic z tego, co w sercu się kryje. Ha! słyszysz? nadchodzi godzina męki. Słyszę turkot powozów.

Panna Warburg podsunęła się do okna.

— Nadjechał książę Ferdynand. Z nim liczny orszak dworski i marszałek Wurm.

— Wurm! To nie miłe. Mam wstręt do tego człowieka. Przeczuwam, że mi przez niego grozi coś złego. Gdzie ten człowiek się ukaże, zawsze za nim zjawia się nieszczęście.

— Musimy poprawić tualetę. Proszę pozwolić, tak, jeszcze ułożę fałdy sukni. Włosy jeszcze. Zaraz. Diadem nieco się zesunął...

Otwierają się drzwi, wchodzi księżna, wspaniała, strojna, dumna, jak Junona. Rzuciła okiem badawczo i zadowolenie znać było na jej twarzy, bo księżniczka Elza zimna, spokojna, tak była zajęta uporządkowaniem tualety, jak gdyby nie myślała o niczem innem w tej chwili, tylko o diademie i fałdach jedwabnej sukni.

— Moje dziecko — rzekła księżna uroczyście — książę Ferdynand, następca tronu, przybywa na uroczystość zaręczyn.

Księżniczka uchyliła głowę na znak, że gotowa na wszystko.

Księżna ujęła córkę pod ramię i poszły do ceremonialnej sali recepcyjnej, otwieranej tylko na wielkie uroczystości. Tam już czekał dwór książęcy i następca tronu z orszakiem. Wspaniałe mundury dygnitarzy i oficerów kapały złotem i lśniły się dokoła jedwabie i aksamity. Nastrój był uroczysty. Oczekiwano przybycia księżnej matki i narzeczonej z wielką niecierpliwością, boć szeptano niby tylko, ale szeptano dość głośno w sferach dworskich, że te zaręczyny nie z miłości, że, że, że i tysiące różnych „że“, jak zwykle między ludźmi, którzy nie mają co robić.

Rozwarły się podwoje sali, księżna matka weszła z księżniczką, a książę Ferdynand posunął się ku nim z wykwintną elegancyą i pocałował rękę księżniczki.

I zaczęła się komedya zaręczyn, wstrętna dla obojga. Książę Ferdynand odezwał się grzecznie i uroczyście, ale zimno, sucho, obojętnie.

— Ich królewskie wysokości, księżna pani i moi rodzice, postanowili dozwolić mi, abym prosił o twoją rękę księżniczko. Uszczęśliwiony tem pozwoleniem, proszę waszej królewskiej wysokości księżniczko o łaskawe przychylenie się do postanowień księżnej i moich rodziców.

Książę Ferdynand skończył. Na twarz księżniczki uderzyły płomienie. Gwałtowny bunt przeciw tej komedyi wybuchał w jej duszy. Czuła to, widziała i wiedziała, że książę ulega przymusowi, równie jak i ona, więc oburzyła się na to pętanie ich serc, na ten targ małżeński. Nienawidziła w tej chwili księcia jeszcze bardziej, bo on mężczyzna, on powinien był oprzeć się przymusowi, nie sięgać po jej rękę świętokradzko. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Parlamentarz japoński w Porcie Artura.



Z wojny ros.-jap.: Rosyjska kolumna rannych w bitwie pod Jantajem zdążająca pod osłoną kozaków do Mukdenu.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Echa z pola bitwy. Nad rzeką Szacho nowa walka nie rozpoczęła się jeszcze; nie nadchodzą nawet z pod Mukdenu wieści o drobnych potyczkach i utarczkach przednich straży. Obie strony wypoczywają widocznie po ostatnim krwawym boju i zbierają siły, aby znów rzucić się na siebie jeszcze z większą niż dotychczas zajadłością.

Jest to spokój przed burzą, która lada chwila zerwać się może, a której wyniki są bardzo niepewne, bo obie strony otrzymały posiłki: jenerał Kuropatkin w artyleryi, a marszałek Oyama w dwóch całych dywizyach, które nadesłano mu z pod Portu Artura.

Krążą pogłoski, które nawet berlińskie dzienniki podały jako pewnik, że w ostatniej walce jeden z najzdolniejszych subalternów jenerała Kuropatkina, dowódca konnicy jenerał Miszczenko, został zraniony. Wiadomość ta potrzebuje jednak urzędowego potwierdzenia tak samo, jak wieści nadchodzące ze strony angielskich korespondentów, którzy utrzymują, że jenerał-major Fukuschima, ten sam, który będąc jeszcze pułkownikiem, konno z Berlina przez całą Rosyę europejską i azyatycką dostał się do Władywostoku i stamtąd okrętem przybył do rodzinnego kraju, zdołał na czele swej dywizyi przeprawić się przez nurty rzeki Szacho i oskrzydlił tak armię mandżurską, że grozi jej zupełne odcięcie od Mukdenu.

Z obowiązku notujemy te pogłoski, nieprzywiązując do nich wielkiej wagi, jako do prywatnych relacyi korespondentów dziennikarskich goniących zawsze za senzacyą, choćby mieli ją stworzyć kosztem prawdy...

Pod Portem Artura. Dzień urodzin mikada, który miał być ostatnim dniem dla Rosyan, broniących Portu Artura, minął, a twierdza ta nie została jeszcze zdobytą!...

Jenerał Stössel broni się na upartego, nie chce nawet przyjąć proponowanego przez parlamentarza



Z wojny ros.-jap.: Jenerał-major Fukushima, prawa ręka marszałka Oyamy.

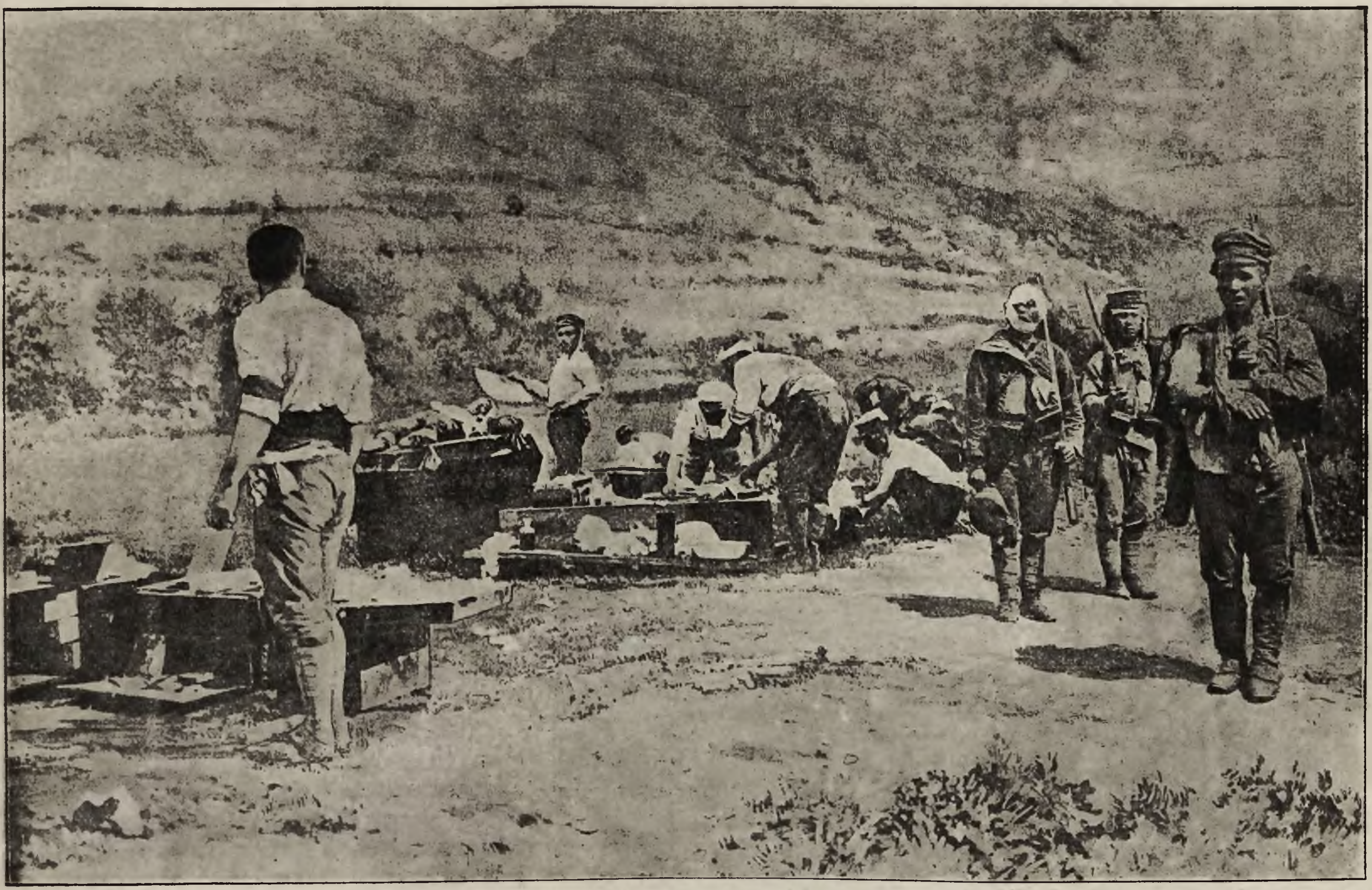
japońskiego, wysłanego ze strony wodza oblegających Japończyków, jenerała Noghi, zawieszenia broni, celem pogrzebania otaczających twierdzę trupów. Jenerał Stössel broni się, ale mimo to Japończycy, którzy szturmują zawzięcie, z każdym niemal dniem chwalą się nowemi zdobyczami.

Według ostatnich wieści, wpadły w ich ręce okopy jednej z głównych fortyfikacyj reduty Itzuszan, a — jak donosi „Standard" Erlungszan został także zdobyty i piechota japońska zdołała się nawet wedrzeć do tej części miasta, która nosi nazwę chińskiego Portu Artura.

Że twierdza broni się ostatkiem sił, i że dni jej są policzone, dowodzi fakt, iż rząd niemiecki



Z wojny ros.-jap.: Oddział zakonnic rosyjskiego „Czerwonego Krzyża" z lekarzem na czele.



Z wojny ros.-jap.: Ambulans japoński przy pracy.

zwrócił się z prośbą zarówno do jenerała Stössla, jak do jenerała Noghi, aby przebywającym jeszcze w mieście dwudziestu czterem obywatelom niemieckim dozwolono opuścić twierdzę i przejść przez szeregi Japończyków.

Jak donoszą, ostatnie swe powodzenie zawdzięczają Japończycy nie tyle zajadłym szturmom, które opłacali tysiącami ofiar poległych i rannych, ile regularnemu oblężeniu, prowadzonemu przy pomocy kontr-minowania i kontr-fortyfikacyi, oraz ścisłej blokadzie od strony morza, gdzie eskadra admirała Togo została znów wzmocnioną przez znaczną ilość torpedowców i kanonierek, skutkiem czego dżunki chińskie z żywnością i amunicyą przeznaczoną dla załogi twierdzy, nie mogą prześlizgnąć się i dotrzeć do przystani portarturskiej.

Zatarg angielsko-rosyjski. Konflikt, jaki powstał między Rosyą a Anglią z powodu strzałów, jakie padły pod Hull z okrętów floty bałtyckiej na łodzie rybaków angielskich na razie przynajmniej został zażegnany.

Oba mocarstwa zgodziły się, aby spór wywołany tym tragicznym wypadkiem oddać do rozstrzygnięcia sądowi rozjemczemu, złożonemu z oficerów marynarki państw neutralnych. Sąd rozjemczy po ostatecznem ukonstytuowaniu się i wyborze superarbitra, którym według zapewnień półurzędowych dzienników obu zwaśnionych stron ma zostać któryś z austryackich admirałów, zbierze się w Paryżu.

Rosyę zastępować będzie przed sądem rozjemczym admirał Kaznakow, ten sam który występował już jako reprezentant marynarki rosyjskiej, podczas konferencyi morskiej w Waszyngtonie w roku 1899.

Zdaje się, że spór będzie załatwiony zgodnie, zwłaszcza, że cesarz Mikołaj II. sam dał wyraz najwyższego oburzenia z powodu nerwowości i nieopatrznego postępowania komendantów eskadry bałtyckiej.

A tymczasem eskadra ta opuściła przystań w Tangerze i udała się w dalszą drogę w towarzystwie pancerników angielskich, które czuwają, aby po drodze nie zdarzył się znów jakiś podobny wypadek.

Obrazki z pola walk.

* Krwawe potyczki codzienne i wielka dwunastodniowa bitwa w okolicach tantajskich kopalni węgla, obarczają oddziały sanitarne obu stron walczących nie małą pracą.

Setki rannych zgłaszają do polowych ambulansów, tysiące nieszczęśliwych ofiar znoszą do zaopatrzenia patrolujący na placu boju żołnierze sanitarni.

Oto co pisze między innymi o bitwie pod Jantajem korespondent wojenny jednego z pism rosyjskich.

„Stoję na wzgórku i patrzę. Zdala dolatuje mnie ryk dział i grzmot wystrzałów karabinowych, a tuż w pobliżu słyszę płacz i jęki: tam w dali wre krwawa bitwa, a tu zbliżają się jej ofiary, których śmierć jeszcze zaoszczędziła, ale których kule uczyniły niezdolnymi do dalszych zapasów.

I ciągnie tuż koło mnie długa kolumna wózków pod osłoną, a na wózku leżą ciężej ranni, a przy wózku wloką się ociężale ci, których rany pozwalają im jeszcze pieszo zdążać do ambulansów. Widzę pomieszanych żołnierzy różnej broni: kozaków, piechurów, dragonów, saperów, artylerzystów, strzelców... Wloką się w tym porządku, w jakim wyrwały ich ze szeregów nieprzyjacielskie kule...

Ciągną zmieszani tworząc barwną mozaikę mundurów lecz jedno jest im wspólne: ból, cierpienie i to pytanie, które myśl ich dręczy, pytanie straszne, czy lekarze zdołają ich wyrwać z objęć śmierci“...

Rosyjskie siostry „Czerwonego Krzyża“ ubrane w białe czepeczki i białe fartuszki, wiecznie krwią zbryzgane, wraz z lekarzami dniem i nocą krążą przy łożach, na których spoczywają ranni żołnierze, poprawiając opaski, chłodząc napojem ich gorączkę, niosąc wszędzie pociechę i słowa nadziei, a w japońskich ambulansach polowych służba sanitarna złożona przeważnie z mężczyzn także niesie swym braciom pomoc i to z prawdziwie kobiecą łagodnością, czułością i delikatnością.

To też nie ma w tem nic dziwnego, że rosyjski korespondent Niemirowicz-Daczenko pisze:

„Żołnierze są czasami tak pomęczeni, że proszą Boga, aby zostali zranieni i wzięci do ambulansu, pod czułą opiekę sióstr i lekarzy, choćby tylko dlatego, iżby mogli się wyspać i odpocząć!“

* Wspominaliśmy już o Chunchuzach i o tej niepojętej ich zaciekłości z jaką występują przeciw armii mandżurskiej, posiłkując japończykom, szpiegując na ich korzyść walcząc z rosyjskiemi rekonesansami.

Zaciekłość Chunchuzów nie ustaje, ale też nie ustają egzekucye, jakie co dzień odbywają się w obozie rosyjskim na tych Chunchuzach, którzy z powodu swej nieostrożności, czy też skutkiem zbiegu niepomyślnych dla nich okoliczności dostaną się w ręce kozaków.

Dla szpiegów japońskich, o ile nie są oficerami, istnieje szubienica, dla oficerów rozstrzelanie; Chunchuzi jednak muszą ostatnie tchnienie oddać pod nahajkami kozackiemi.

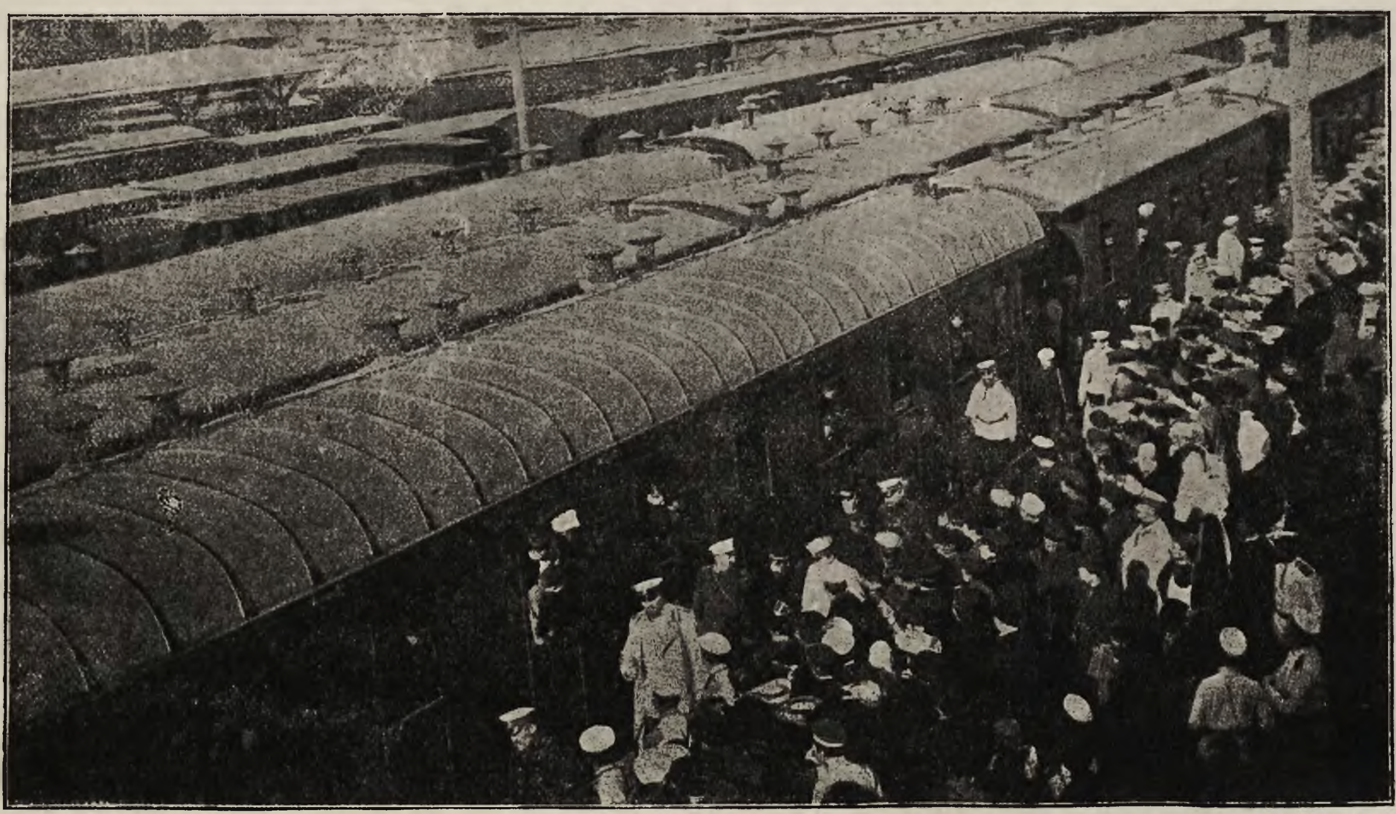
„To jedno jeszcze, co ich odstrasza“ — miał rzec jenerał Kuropatkin, wydając rozporządzenie, aby tylko taka kara spotykała mandżurskich rozbójników, którzy nawzajem nie oszczędzają nigdy złapanych przez się żołnierzy rosyjskich i odwzajemniając się, zadają im śmierć wśród najstraszniejszych i najdzikszych męczarni.

Ach! nie ma chyba nic potworniejszego i bardziej nieludzkiego, nad wojnę!...

* Tyle mówią i tyle piszą o jeńcach rosyjskich, których wcale sporą ilość wzięli Japończycy do



Z wojny ros.-jap.: Kozacy dokonywują egzekucyi na złapanym szpiegu Chunchuzie.



Z wojny ros.-jap.: Pierwsi jeńcy japońscy na dworcu kolejowym w Moskwie.

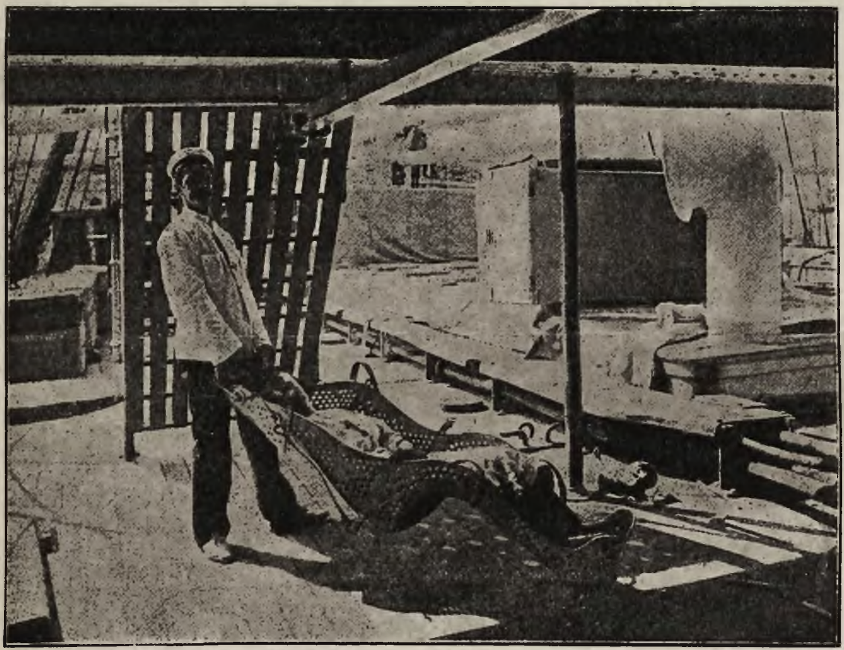
niewoli, trzeba więc wspomnieć i o tem, że jeszcze w bitwie nad rzeką Jalu kilkuset Japończyków dostało się w ręce armii mandżurskiej.

Tych pierwszych jeńców z tryumfem odesłano do Moskwy, tego serca rosyjskiego państwa, gdzie na zamku w Kremlu szeleszczą sztandary zdobyte w licznych krwawych bojach, z których Rosyanie wyszli zwycięzcami okrywając się chwałą.

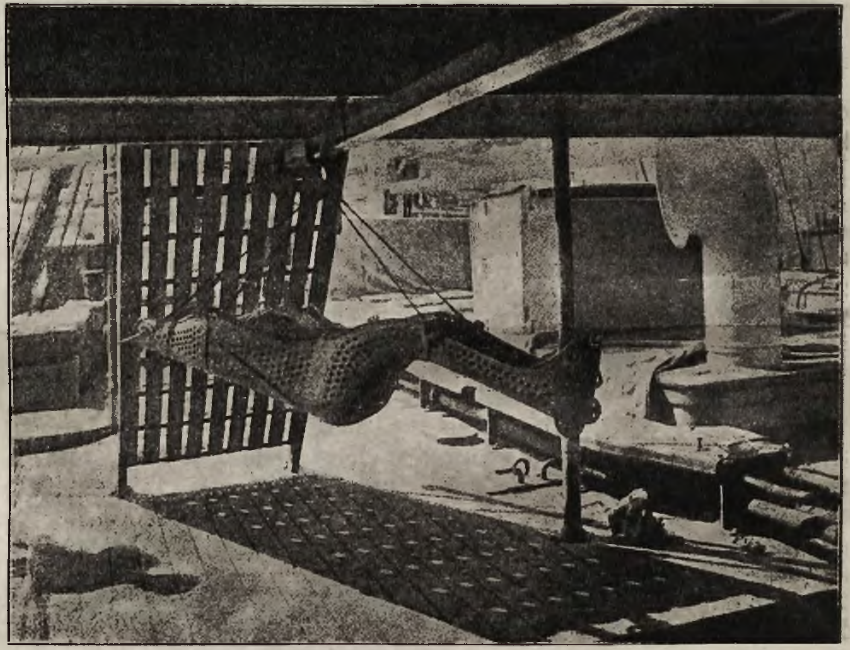
Na wieść o przybyciu tych jeńców, całe niemal miasto wyległo przed dworzec kolejowy; każdy spieszył, by ujrzeć tych Japończyków, którzy mieli odwagę zmierzyć się z potęgą rosyjską i którzy w pierwszej bitwie lądowej dostali się odrazu w łyka.

Publiczność przyjmowała ich serdecznie, niemal owacyjnie, widząc w nich jawny dowód tryumfu rosyjskiego oręża; w zwartych szeregach, wznosząc okrzyki na cześć swego cesarza i swych wojsk towarzyszyła im aż do kwater, a potem sypnęła hojnie ofiarami na ten cel, aby im na niczem nie zbywało.

„Niech każdy z nich pozna, że Rosyanin umie zwyciężać, ale nie mści się nad zwyciężonym, owszem czuje litość dla pokonanego wroga i stara się ulżyć jego niedoli“ — mówili wszyscy mieszkańcy oczekując codziennie nowych wieści o postępach armii mandżurskiej, nowych transportów pobranych w boju jeńców. Niestety do tej pory nie ziściły się jeszcze te nadzieje; do tej chwili Japończycy, którzy ostatecznie i nad rzeką Jalu zwyciężyli, są ciągle górą, a jeńcy wojenni miast w stronę Moskwy długim szeregiem zdążają do Tokio i do Jokohamy... W komnatach Kremlu, szeleszczą cicho zdobyte ongiś przez Rosyan sztandary — lecz brak tam jeszcze złotego sztandaru z kwiatem chryzantemy, który powiewa nad idącymi w bój Japończykami...



Z wojny ros.-jap.: W szpitalu okrętowym.



Z wojny ros.-jap.: W szpitalu okrętowym.

* Gdy już wspominamy o służbie sanitarnej i ambulansach polowych w Mandżuryi, nie możemy pominąć milczeniem szpitali okrętowych, zwłaszcza, że szpitale te w ostatnich bitwach morskich były przepełnione rannymi. Pod pokładem, osobnych na ten cel tylko przeznaczonych okrętów, na których powiewa flaga „Czerwonego Krzyża“ wiszą rzędami żelazne hamaki, urządzone w ten sposób, że każdego czasu mogą być po spuszczeniu użyte jako wózki do transportowania rannych z szpitalnej kajuty do sali chirurgicznej.

W hamakach leżą ranni, a służbę pełnią przy nich jedynie żołnierze sanitarni pozostający pod nadzorem lekarzy okrętowych.

Oprócz takich, wielkich szpitali morskich, każdy okręt wojenny posiada kajutę ambulansową, gdzie składają ranionych w bitwie aż do czasu, w którym, gdy grzmot dział ustanie, gdy walka wreszcie się skończy, można ich wreszcie przenieść do szpitali portowych lub morskich.

A jakie jest życie w takiej kajucie ambulansowej?..

Wprost straszne!..

Z jednej strony przynoszą tam rannego, aby ręce lekarza wyrwały go z objęć śmierci, która mu zagraża, a z drugiej strony jeden celny strzał armatni przeciwnika może każdej chwili zatopić okręt i wraz z nim tych rannych!

Tak samo jest i na okrętach przeznaczonych jedynie dla rannych i nie biorących udziału w walce.

Zbłąkany pocisk, nie zważając na konwencye, może je przedziurawić, a wówczas i walczący ze śmiercią chorzy i niosący im pomoc lekarze wśród chłodnych fal morskich kończą swe życie...

Jeśli straszną jest walka na lądzie, to stokroć straszniejszą jest walka na morzu!

Tu nie można już szukać ocalenia w ucieczce — tu walczący mają do wyboru chlubną śmierć, lub zwycięstwo!...



Z wojny ros.-jap.: Pierwsi jeńcy japońscy w Moskwie.

Migawki teatralne.

Oddawszy kilkoma początkowemi sylwetkami, zamieszczonemi w poprzednich numerach, hołd pierwszeństwa starszej siostrzycy... scenie „stołecznego“ miasta Lwowa — przerzucamy nagle soczewkę naszego „Kodaka“ ku ujściu Szpitalnej, w planty krakowskie, gdzie, kierowani przedewszystkiem uczuciem serca, chwytamy sobie na płytę kochanego i *comme de raison*, z urzędu swego i obowiązku całe życie kochającego kochanka — Sobiesława.

Sobiesław — *recte* „Sobek“ Bystrzyński, zasłużył w całej pełni na ten kochliwy pleonasmus; niezliczonych bowiem ofiar... pardon!... przedmiotów jego rutynowanej miłości na wołowej nie spisałby skórze, a Kraków, w którym kochał najwięcej i najdłużej, uczcił przed dwoma laty trzydziestolecie tej żmudnej, sercowej pracy wspaniałym jubileuszem.

Ileż bo ten wyjątkowy atleta miłosny — i jakich wspaniałych nie przetrzymał kochanek, choćby tylko na tej scenie krakowskiej! Bednarzewska, Siemaszkowa, Siennicka, Przybyłkówna, Morska, Kałużyńska — ba! nawet Hofmanowa grywała z nim jeszcze bohaterki amantki... i minęły się one wszystkie — a jubilat amant, choć szronem przyprószyło mu jasne niegdyś włosy — dziś, jak przed laty, ten sam Sobiesław, miły, wytworny, lekki...



Na scenie używa peruki... Niedyskretni powiadają, że dał ją sobie utkać Walczyńskiemu z pukli pamiątkowych, a mianowicie z tej jaśniejszej połowy... Co gorzej, chodzą słuchy między podlotkami, podziwiającemi jego powab dziś jeszcze, że ma jakiś eliksir młodości... czy też jakiejś Ukraince odkradzione „lubymene“!... Ale my to uważamy za bajki!...

Szczęśliwe, pogodne usposobienie charakteru, trzyma go młodo, a zapał do sztuki na długie lata zachowa go nam kochankiem kochanym i kochającym, naszym poczciwym, sympatycznym Sobkiem!

Nowościarz.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

7 (Ciąg dalszy)

Nie mało więc zdziwiłem się, że tego dnia sam poruszył tę sprawę i byłem pewny, że tajemniczy starzec dał mu w tym kierunku jakieś instrukcye.

— Pan Follen — zaczął mi się dalej zwierzać Franciszek – przyjął mnie do służby w Rzymie. Jest on wprawdzie z rodu Niemiec, ale był profesorem na uniwersytecie w Padwie, bo jest bardzo uczony i słynie jako jeden z najlepszych lekarzy. Co do mnie, to ja jestem Piemontczykiem i służyłem kiedyś w papieskiej gwardyi szwajcarskiej, bo w tej gwardyi może każdy służyć, kto chce, są tam też i Niemcy i Włosi i Francuzi. Wtedy to poznał mnie pan Follen, który po śmierci żony przybył do Rzymu i porzucił profesurę, bo będąc nader zamożnym nie potrzebował jej wcale. Poznał mnie i skłonił do tego, że rozstałem się z mundurem gwardzisty i przyjąłem u niego służbę.

Franciszek zamyślił się na chwilę, westchnął tak, jakby żałował jeszcze za tym swym szwajcarskim mundurem, ale zobaczywszy ironiczny uśmiech na moich ustach, odezwał się szybko:

— Nie myśl pan, żebym żałował tego kroku! O nie! Do tej chwili nie miałem żadnego powodu żałować tej chwili. Pan Follen był dla mnie zawsze dobrym i łaskawym chlebodawcą, a prócz tego obdarzał mnie i obdarza takiem zaufaniem, jakbym był jego najserdeczniejszym przyjacielem, a nie sługą!... Ale mniejsza o to, wolę panu dalej opowiadać, bo widzę, że mnie pan słucha z zainteresowaniem!

— Spodziewam się! — szepnąłem z cicha, coraz bardziej zadziwiony gadatliwością Franciszka w tej tak ciekawej dla mnie kwestyi.

— Otóż – ciągnął dalej mój towarzysz – pani Follen, matki nieszczęśliwej panny Teresy nie znałem wcale, ale za to wiele o niej słyszałem. Miała to być kobieta anielskiej dobroci, ale także bardzo nieszczęśliwa, bo nie znała co to uśmiech, co to radość, lecz zawsze chodziła smutna i wierzyła w istnienie upiorów! O panie! Nie wiem, czy może być coś straszniejszego nad wiarę w upiory. Komu się ona wpije w serce, ten musi marnie skończyć życie, bo myśl o nich wyssie mu wszystką krew z ciała, wyniszczy najżywotniejsze siły i niema na to ratunku. Pani Follen w ten sposób zeszła przecież z tego świata! A trzeba panu wiedzieć, że tę wiarę odziedziczyła po matce córka, panna Teresa. I jej grozi śmierć taka sama, i ją doktor Follen uratować nie potrafi, chyba gdyby się cud jaki zdarzył!...

— Cóż to jest właściwie ta wiara w upiory?! — zapytałem ciekawie Franciszka.

— E! – odpowiedział on, wzruszając z lekceważeniem ramionami — pan jesteś Anglikiem i nie masz naturalnie o tem pojęcia, więc choćbym panu Bóg wie, jak długo to tłumaczył, niczego nie będziesz rozumieć!...

Uśmiechnąłem się na to.

— Racya! Wy Anglicy z upiorami nie jesteście w stosunkach, no i cieszę się z tego, skoro te stosunki istotnie są tak niebezpieczne.

— Tak! ale u nas we Włoszech, w Dalmacyi, w Turcyi, i aż hen w Małej Azyi wszyscy prawie wierzą w upiory i nikt nie zaprzecza ich istnienia! Uważa pan z tymi upiorami, to rzecz się ma w następujący sposób. Takimi upiorami stają się niektórzy ludzie, ale dopiero po śmierci, ale swoją drogą można też poznać i za życia takiego człowieka, co to później stanie się upiorem. Nie śmiej się pan! Naturalnie, że człowiek o takich żelaznych nerwach, jak pan, nie potrafi tego odczuć, ale osoby słabsze, zwłaszcza kobiety, zawsze są w stanie odkryć, kto po śmierci zamieni się w upiora. Gdy taki człowiek wejdzie do pokoju, gdy choć słówko przemówi do kobiety, ona zaraz wie z kim ma do czynienia! Tak, tak mój panie!...

Franciszek westchnął głęboko.

— Otóż trzeba panu wiedzieć — zaczął po chwili dalej wywnętrzać się przedemną — że nieboszczka pani Follen wierzyła w to święcie i pan profesor w żaden sposób nie mógł jej tego wytłómaczyć. Żyła więc w ustawicznej obawie, że kiedyś w nocy taki upiór może zakraść się do pokoju i wyssać jej wszystką krew wraz z życiem, a myśl o tak strasznej śmierci, która ją bez przestanku prześladowała, podkopywała jej zdrowie, wycieńczała siły. A kto wie nawet, czy upiór istotnie nie zapuszczał swych zębów w jej ciało, czy nie ssał jej krwi?!... W ten sposób skończyła życie pani Follen, tak samo musi umrzeć i jej córka, choćby nawet pan profesor nie wiem co robił i nie wiem w jaki sposób starał się podtrzymać jej siły, bo ubytek krwi, wytoczonej przez upiora, nie da się niczem zastąpić!...

— Jestem przekonany — odezwałem się na to — że pan Follen, tak samo jak ja, nie wierzy w żadne upiory i dziwię się, że nie zdołał wytłumaczyć swej córce tych dziecinnych zabobonów!...

— O! Pan profesor nie raz chciał w nią wmówić, że upiory nie istnieją wcale na świecie! Nieraz błagał ją ze łzami w oczach, żeby przestała myśleć o tem, ale wszystko naprożno!

— Jakto? więc panna teraz doprawdy jest tak święcie przekonaną, że upiór składa jej co noc wizytę i karmi się krwią, która płynie w jej żyłach?...

— Tak panie! ona nietylko wierzy w upiory, ale wie pewnie, że upior ją prześladuje każdej nocy, a zresztą... hm... panna Teresa ma nawet powody sądzić, że tak jest, a nie inaczej!...

— Powody? — zapytałem ciekawie — a czy nie możnaby wiedzieć jakie?!...

— Posłuchaj pan tylko! Gdyśmy jeszcze wszyscy mieszkali w Rzymie, panienkę otaczały roje wielbicieli. I nic chyba nie było w tem dziwnego! Młoda, piękna, bogata, szlachetna i łagodna, jak anioł, chociaż liczyła dopiero lat szesnaście, oddziaływała na serca młodzieży i każdy chętnie byłby ją wziął za żonę. Najbardziej zaś nadskakiwał jej niejaki pan Aleksander, który szalenie się w niej zakochał. A był to cudnej urody mężczyzna, ideał wszystkich dam rzymskich. Mimo to jednak, choć pan Aleksander całkiem jasno dawał do poznania, że marzy tylko o tem, aby się połączyć węzłem małżeńskim z panną Teresą, nieboszczka pani Follen krzywem okiem spoglądała na niego. Po jakimś czasie ów pan Aleksander wprost zapytał panienkę, czy kocha go i czy pozwala, żeby prosił rodziców o jej rękę, ale panienka odpowiedziała mu, że jest jeszcze za młodą i żeby z prośbą taką nie zwracał się do jej rodziców. W parę dni potem, gdy panna Teresa opowiadała panu profesorowi o tych wyznaniach pana Aleksandra, matka jej, obecna przy tej rozmowie, zawołała nagle:

— Na miłość boską Tereniu! nie oddawaj swej ręki temu człowiekowi, bo przeczułam, że on po śmierci stanie się upiorem! On nie pożyje długo, a gdy go złożą do grobu, co nocy wyjdzie z trumny i będzie wysysać twą krew, aby podtrzymać swe życie; co noc syty, ze skrwawionemi usty, będzie wracać do grobu, a ty jak ten kwiat, podcięty kosą, uschniesz niebawem i marnie skończysz wśród cierpień swe życie!...

Ta uwaga zrobiła wielkie wrażenie na pannie Teresie, która podzielała wiarę matki w upiory i pan Aleksander otrzymał od niej wyraźnie kosza. Ale dziwnem jakiemś zrządzeniem losu dowiedział się pan Aleksander, co było właściwym powodem tej odmowy, jaka go spotkała.

— „Upiorem jestem!“ — zawołał wówczas w szalonym gniewie — „no! kiedy mam być upiorem, to tylko jej krew pić będę, jej, tej pięknej Tereni! Przysięgam na to! przysięgam!“...

A gdy panna Teresa dowiedziała się o tej strasznej przysiędze, straciła swój humor i wesołość, była bowiem przekonaną, że pan Aleksander dotrzyma swej przysięgi, że czeka ją straszna śmierć wśród długich, ciężkich cierpień. (C. d. n.)

Kłamstwo z miłości.

Humoreska.

Pan Agenor Chołojewski siedział przed lustrem, kończąc starannie toaletę.

Grzegorz, stary sługa, stał przy stole i wypełniał kufer podróżny.

— No! i jakże ja wyglądam, Grzesiu?

— Jak zawsze, jaśnie panie, doskonale! Niktby ani przypuścił, że jasnemu panu dziś jutro minie pięćdziesiątka.

Pan Agenor skinął głową.

— Nieprawdaż? ja zawsze to samo powtarzam. A jak sądzisz, mógłbym ja się jeszcze podobać jakiej ładnej, młodej panience, co?

Lokaj patrzył zdziwiony.

— Nie wytrzeszczaj oczu — uśmiechnął się pan — bo usłyszysz jeszcze coś dziwniejszego. Oto ja wyjeżdżam celem poznania panny na wydaniu i łatwo być może, że wrócę zaręczony.

— Jaśnie pan ożeniłby się po raz drugi?

— A czemuż nie?... Widzisz sam, że ja w moich pięćdziesięciu latach nie jestem jeszcze tak poważnie rozsądnym, jakby już należało w tym wieku.

Siwy Grzegorz umilkł; korciło go wprawdzie rzucić: „a pójdzie to jeszcze?...“ ale ukąsił się w język i pokiwał tylko głową.

— Pakujże prędko, a nie zapomnij czego — mruknął pan Agenor i nie dokończył, bo w tej chwili gwałtownie drzwi odepchnąwszy, wpadł jakby bez tchu jego siostrzeniec, Henryk.

— Wujaszku — zawołał już od progu — jestem w strasznym kłopocie, ty musisz mi dopomódz!

Spokojnie odwrócił głowę tak nagabnięty wujaszek.

— Po pierwsze: nie wpada się do nikogo w ten sposób, jak ty to urządzasz; po drugie: ja nie mam obecnie czasu, bo jak widzisz, za godzinę wyjeżdżam.

— Ach wujaszku, to sprawa niesłychanie ważna!

— Przykro mi — ale moja dla mnie ważniejsza.

— Od tego zależy szczęście całego mego życia!

— Tak samo właśnie ma się rzecz ze mną, mój kochany. W każdym razie jednak – słucham cię... O cóż chodzi?

— Kochany wujaszku! Muszę koniecznie za godzinę wyjechać, a nie mam pieniędzy na podróż. Kolega, któremu pożyczyłem przed tygodniem sto koron, zawiódł mnie — zmuszony tedy jestem prosić cię o czterdzieści koron pożyczki — na pierwszego oddam z podziękowaniem.

— A cóż to masz tak pilnego? – spytał wuj po chwili.

— Miało to być dla wuja niespodzianką... ale skoro już na to przyszło, wyznam ci, że jadę się oświadczyć o rękę niejakiej panny Rudzkiej.

Stary drgnął na krześle.

— I jedziesz?

— Do Sędziszowa.

— A więc to jest panna Helena Rudzka, córka pana Antoniego, lekarza?

— Wujaszek go zna?

Pan Agenor milczał przez chwilę, wreszcie założywszy ręce za kolana i wpatrując się bystrem a sarkazmu pełnem spojrzeniem w Henryka odrzekł:

— Czy go znam? Hm... mój kochany, znam go na twoje nieszczęście aż nadto dobrze; a dlatego powiadam „na twoje nieszczęście“, bo z tej przyczyny nie pożyczę ci pieniędzy; nie zrobię zaś tego z powodu, że jak widzisz wyjeżdżam i to w celu proszenia pana Rudzkiego z Sędziszowa o rękę jego córki, panny Heleny — dla siebie!

Siostrzeniec padł w krzesło, jak rażony piorunem.

— Dodam ci jeszcze — ciągnął nielitościwie pan Chołojewski — że porozumieliśmy się już z doktorem co do mego przyjazdu; a jakkolwiek panna nie wie dotąd o moich zamiarach, a nawet nie widziała mnie jeszcze, mam przecież nadzieję, że od teraz za jakich pięć godzin będziemy już po słowie.

Zerwał się Henryk.

— Więc ty jej nawet nie kochasz, wujaszku?

— Kocham, nie kocham, mój kochany... dziś do małżeństwa potrzeba głównie majątku: ten mam, a i za nią daje ojciec dwakroć.

— A jeżeli ona wuja nie pokocha?

— Po ślubie zrobi się to jakoś! — odparł cynicznie wujaszek i uśmiechnął się w lustro.

— Więc to nieodwołalny zamiar wujaszka?

— Nieodwołalny.

— I wujaszek mi nie da czterdziestu koron?

— Z przyjemnością — ale po moim ślubie dopiero.

— Zobaczymy, czy nie poradzę sobie bez wuja! — wykrzyknął zrozpaczony młodzieniec i jak strzała wybiegł z pokoju.

— Żal mi chłopca! — mruknął do siebie pan Agenor — kochałem zawsze tego serdecznego łobuza... ale bliższa koszula ciała!

I kończył się ubierać szybko.

Tymczasem Henryk wypadłszy na ulicę, przystanął na chwilę i tak rozumował:

— Pożyczyć, nie pożyczy mi dziś żaden z kolegów, bo już mamy ośmnastego!... Żyda nie mam żadnego — nie zostaje mi nic innego, jak zastawić zegarek.

Gesagt — gethan! — Dostał na zegarek w lombardzie trzydzieści ośm koron — ale zanim taksator, likwidator i różne inne „tory“ załatwiły swoje manipulacye, zanim znalazł dorożkę i nadążył do dworca — pociąg przed pół godziną odjechał!

— Ale za kwandrans jedzie błyskawiczny! — pocieszył go kasyer.

— A staje w Sędziszowie?

— Nie.

— Wszystko jedno: dawaj pan!

Kupił bilet o parę stacyi dalej, nie wiedząc na razie co pocznie, ale mu to było obojętne... Jechać za wszelką cenę — a w Sędziszowie — wyskoczyć!

Tymczasem stało się inaczej. Bóstwo opiekujące się zakochanymi, wsadziło mu do coupé jakiegoś mizeraka, który w pierwszym kwadransie wyskarżył mu się z boleści wątroby, połączonych z kurczami kiszek, i oświadczył, że jedzie na klinikę szukać porady u profesorów medycyny!

Henrykowi zaświtało w głowie!

— Ależ panie dobrodzieju! — wybuchnął z udanem oburzeniem — pan widzę nie słyszał nic o sławnym doktorze Rudzkim z Sędziszowa?... Jakże to? więc pan dobrodziej pojedzie do tych rzeźników na klinikę, żeby na pańskiej nieszczęśliwej wątrobie robili doświadczenia dla studentów medycyny?

— O rety Maryo! — jęknął nieszczęśliwy chorobiarz — może pan ma i racyę... ale cóż pocznę?

— Możnaby natychmiast wysiąść w Sędziszowie, ale błyskawiczny tam nie staje.

— Co za szkoda! co za szkoda! — biadał chory.

— Ba... jest proszę pana sposób, bo można pociągnąć za sygnał niebezpieczeństwa przy samym Sędziszowie i powiedzieć, że pan zachorował. Kosztuje to dziesięć guldenów — ale...

— Ale co tam pieniądze — wykrzyknął tamten — tu o zdrowie idzie!...

— Słusznie! pan nawet bardzo źle wygląda... o! czy nie będzie ataku?

— Jezu! być może! coś w kiszkach burczy!...

— Burczy? to źle! ciągnijmy sygnał!

Raz, dwa — pociąg staje.

— Co jest? — Pan chory.

Wysiedli — pan zapłacił dziesiątkę, wsiedli na dorożkę i wio! do doktora Rudzkiego.

Z pacyentem do poczekalni — porozumienie z panną Heleną w minucie — buch przed ojcem na kolana z wyznaniem trzyletniej już miłości — rozrzewnienie, przyzwolenie... i — drzwi się otwierają, a w nich staje pan Agenor Chołojewski, który zwyczajnym pociągiem zjechał przed chwilą do Sędziszowa!...

— Prosimy o błogosławieństwo kochanego wujaszka!

Wujaszek zdębiał – ale nim przyszedł do słowa, wpatrzył się długo w pannę Helenę... patrzył, myślał i jakby niechcący wypadły mu te słowa:

— Ha! łobuz!... ale kto wie, czy nie lepiej, bo dalibóg za ładna... a to niebezpiecznie!...

Wyjaśniło się wszystko — było dużo uciechy... ale czy pacyent wyleczył się z wątroby i kurczów... nie wiadomo! Lepiej nie wspominać o tem.

Pablo.

Kącik humorystyczny.

Gęś i Jowisz.
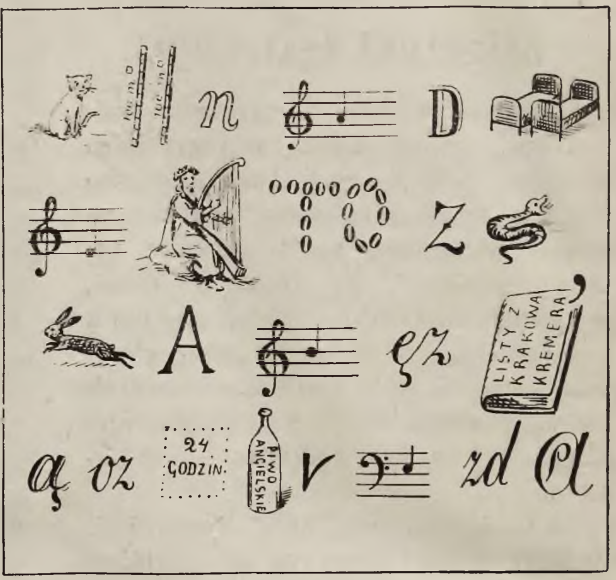
Kiedy Jowisz stworzył
Ludzi i zwierzęta,
Przed oblicze władcy
Przyszła gęś nadęta

I prosi: „Jowiszu!
Odmień postać moją!
Niechaj drżą przedemną
I wszyscy się boją!“

Jowisz na to: „Zrobię
Według twoich planów:
Piór twych bać się będą
W ręku — grafomanów...“

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada zgłoskowa.

Jakiej kto *czwarta pierwsza*, znać zwykle z wejrzenia;
Druga wstecz to spółgłoska — a zaś do jedzenia
Trzecia czwarta w potrawie, smażona lub z rożna.
Całość zwykle z protekcyi – utyć na niej można.

Kwadrat magiczny.

	1	2	3	4
a				
b				
c				
d				

Litery: a, a, a, a, a, a, d, l, m, o, o, r, r, s, w. w – wstawić odpowiednio w pola kwadratu, ażeby tak poziome rzędy jak i pionowe utworzyły następujące znaczenia: 1) Rząd **a** i **1** rzeka; rząd **b** i **2** bożek; rząd **c** i **3** wieś pod Warszawą; rząd **d** i **4** miasto.

Za rozwiązanie rebusa, szarady i kwadratu przeznacza się jako nagrodę: **Humoreski Stasiaka.**

Rozwiązania z Nr. 5.

Rebus: Kto nie wypełnia zobowiązania, do nagrody nie powinien mieć pretensyi.

Szarady: 1) Aligator. 2) Rewerenda. 3) Moderato.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Kolbusz, Chodkiewicz, Peller, Łapicki, Barg, Nemetz, Markl, Rogalski, Gaweł i Czytelnia w Lisku.

Nagrodę przez losowanie otrzymali pp.: Gaweł, Markl i Peller, których prosimy o przysłanie 50 hal. na porto nagrody.

NB. Prenumeratorkę z Krakowa, narażoną na kłótnie i przegrany zakład z okazyi naszego rebusu, ośmielamy się pouczyć, że nuta między trzecią a czwartą linią nazywa się „mi“, gdyż przed nią stoi klucz basowy.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

WŁ. TOMASZEWSKI
W KRAKOWIE, RYNEK L. 16

POLECA 2—13

PORCELANĘ, SZKŁO, LAMPY

≡ I HERBATĘ ROSYJSKĄ ≡

OD KOR. 2·80 DO KOR. 8·— ZA PÓŁ KILOGR.

Najtaniej w Krakowie Grodzka 58





Znakomitej dobroci **zegarki, zegary, budziki, OBRĄCZKI ŚLUBNE** łańcuszki, pierścionki, kolczyki i inne wyroby **złote i srebrne** urzędownie cechowane poleca **najtaniej**

Bogato ilustr. polskie **Cenniki** wysyła na żądanie darmo.



EMIL GOLDWASSER
w Krakowie, ul. Grodzka l. 58

6-15 Zlecenia z prowincyi załatwia sumiennie odwrotną pocztą.

I. nagroda Grand Grand Grand Grand Prix

„Underwood“ Maszyna do pisania

St. Louis 1904.

Pierwszorzędna światowa marka z widocznem pismem.

Sprzedano przeszło 80,000 sztuk.

Wprost przez generaln. zastępcę:

Krzysztof Krzysztofowicz
Kraków.

Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie
ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

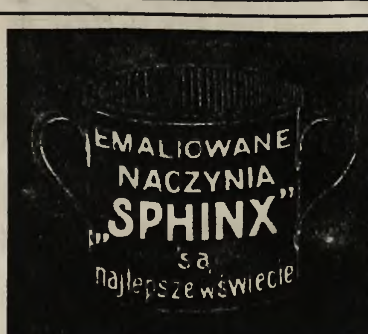
Dom towarowy „Au Louvre“
5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**



Proszę żądać gratis i franko mego dużego, bogato illustrowanego katalogu dobrych, trwałych i tanich **zegarków** wyrobów **złotych i srebrnych**

JAN KONRAD
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW
w Brüx Nr. 1186 (Czechy).

Zegarek Anker-Remontoir systemu **Roskopf-Patent** wraz z niklowym łańcuszkiem i futerałem złr. 2·25, 3 zegarki złr. 6·50, 6 sztuk złr. 12·50. — Ten sam zegarek o podwójnej kopercie złr. 3·50. Prawdziwy srebrny zegarek Remontoir złr. 3·80, Prawdziwy srebrny łańcuszek pancerzowy złr. 1·20. Niklowy budzik złr. 1·45, 3 budziki złr. 4, z świecącym w nocy cyferblatem złr. 1·65, 3 zegarki złr. 4·50. Za uczciwe solidne wykonanie ręczę 3-letnią pisemną gwarancyą. Żadne ryzyko! Zamiana dozwolona, lub zwrot gotówki. 6-8



Również czysto niklowe „Berndorf“

Cenniki na żądanie.

1—12

Wyłączny skład fabryczny.

Tom. Górecki, Kraków.

M. BOJARSKI, ZEGARMISTRZ
W KRAKOWIE, UL. FLORYAŃSKA L. 4

poleca wielki skład zegarów kieszonkowych i zegarów pendułowych najlepszych fabryk.

= Przyjmuje reperacye =

7-15



FABRYKA CUKRÓW i HERBATNIKÓW

JANA HÖFLINGERA
we Lwowie, ul. Teatralna l. 8 (pl. św. Ducha)

w domu własnym

poleca **czekoladę Mickiewiczowską** w postaci medalionów **sztuka 20 hal.**

Dochód cały z rozsprzedaży pierwszych 10.000 sztuk na rzecz pomnika Mickiewicza we Lwowie

5-9 **Dla PP. Kupców znaczny rabat.**

Herbatniki sławne warszawskie 1 klg. K 3·60.

Cukry deserowe znakomite 1 „ K 4·40.

Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą.

Założona w roku 1836

Fabryka spirytusu, rumu, rosolisów i likierów

pod firmą

Salo Goldfrucht
w Zniesieniu obok Lwowa

poleca znakomite wódki polskie, jak: kontoszówka, żytniówka, starka, koniak żytni 10-letni, ratafia, roztopczyn, z 1864 roku śliwkówka, gruszkowa, aprikotin i t. p. Wszystkie krajowe i zagraniczne rumy, jakoteż koniak francuski i śliwowicę węgier.

Wysyłka pocztą w 5-kilowych flaszkach blaszanych. Cennik wysyła gratis i franko. 5—14

500 NUMER PIĘĆSETNY 500

12-CENTOWEJ BIBLIOTEKI POWSZECHNEJ

ZAWIERA

NOWA SERYA TEGO WYDAWNICTWA:

Nr. 471 do 500

Szczegółowy opis:

471. Fredro, Ciotunia 24 h.
472/473. Goethe, Cierpienia młodego Wertera 48 h.
474. Czechow, Zbiór nowel t. II. 24 h.
475. Słowacki. Król — Duch 24 h.
476/478. Krasicki, Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego 72 h.
479/480. Ibsen, Pani zamku Östrot 48 h.
481/483. Bolesławita, Dziecię starego miasta 72 h.
484. Korzeniowski, Cyganie. Dramat 24 h.
485/486. Charakterystyki literackie: XII. Bohdan Zaleski przez Dra St. Zdziarskiego 48 h.
487. Maupassant Nowele tomik II. 24 h.
488. Zola, Powódź — Lilli. Nowele 24 h.
489/496. Rzewuski, Pamiątki JPana Seweryna Soplicy cześnika Parnawskiego 1 K 92 h.
497. Maupassant, Nowele tomik III. 24 h.
498. Zola, Atak na młyn. Nowela 24 h.
499. Zola, Jak ludzie umierają. Nowele 24 h.
500. Syrokomla, Córa Piastów — Stare Wrota 24 h.

Dalsze tomiki w druku.

Pojedynczy numer 24 h. (12 ct.) Każdy tomik osobno do nabycia

w księgarni W. Zukerkandla

we Lwowie (ul. Sykstuska 8), w Złoczowie (ul. Sobieskiego 4).

6-8 oraz w każdej innej księgarni.

Katalogi na żądanie darmo i opłatnie.

Do sprzedania Hotel Union, Kraków ul. św. Gertrudy L. 27.

Elegancko urządzony i umeblowany, 30 pokoi, suteryny konces. do zamieszkania. Restauracya z Kawiarnią i Sala teatralna z wszelkiemi przyborami. **Cena 80·000 złr., potrzebna gotówka 21·000 złr.** Wiadomość: Broczkowski, Kraków, Blichowa l. 30. 7-10

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ i HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper.

Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.